

**BEZ
DEBITU**

**KWARTALNIK
NIEREGULARNY
BIAJSTOK**

7-3/88

DEZ DEBITU 2-0 000

kwartalnik ————— nieregularny

W numerze :

STAROŚCIA

Włodzimierz Kowczuk, I nie popłynię dalej potok... ..	3
Gabriela Sroblewska, Poza granicami wyobraźni	14
Stanisław Owczki, Na straży systemu	25

ROZMOWY

Ja nie jestem ONI, cz.4	35
Ja tu tylko sprzątam	44

DOKUMENTY

Skazani na śmierć, Białostoczczyzna 1944-46, cz.2	50
---	----

POWCÓRKA Z HISTORII

Andrzej Czapski, w imię wyższych rasji... ..	56
--	----

ZŁE CIECKA

Adam Dolistowski, Wstęp do historii świata, cz.5	62
Jan Nowofalista, Złapać język za gardło	67
Adam Zagajewski, Wiersze	71

OP CITS, OP CIF.

Leopold Tyrmand, Kryzysy Mieczysława Rakowskiego /fragmety/	72
--	----

Białystok

komunikat Redakcji

Przepraszamy naszych Czytelników za duże opóźnienie w ukazaniu się 7-ego numeru naszego pisma. Powodem było rozstanie się z naszym dotychczasowym wydawcą, które trudno byłoby nazwać z jego strony szentelmańskim.

Tym niemniej dziękujemy Wydawnictwu "Kryśl" za wydatną pomoc w uruchomieniu pisma i prawie dwuletnią współpracę.

wpłaty

Ciccia Ewa - 1590, Jadysław - 20 dol.kan., cegiełki Adelajde - 60 dol.,
Serdecznie dziękujemy Ryszardowi za sprzęt.

komunikat

Z inicjatywy środowiska dziennikarzy niezależnych - członków SDP oraz zespołu autorskiego i redakcyjnego kwartalnika i wydawnictwa Wolne Pismo MOST powołuje się Agencję Publicystyczno-wydawniczą MOST /AP-W MOST/.

1. Agencja oferuje teksty publicystyczne /artykuły, opracowania, wywiady, reportaże, komentarze etc./ oraz teksty książek /w tym przekłady z języków obcych/ wydawnictwom i periodykom w kraju i za granicą.
2. Agencja zgłasza własne propozycje tematyczne i realizuje złożone zamówienia.
3. Agencja ma możliwość uzyskiwania zgody polskich oficyn emigracyjnych na przedruki ich wydawnictw w kraju.
4. Warunki współpracy Agencji z jej kontrahentami oparte są na dwustronnych porozumieniach.
5. Pracę Agencji organizuje kolegium, którego działalność /merytoryczna i finansowa/ pozostaje pod kontrolą społecznej Rady Nadzorczej.
6. Agencja uzyskuje fundusze z opłat za swoją działalność i z darowizn.
7. Agencja ma swych przedstawicieli na Zachodzie.
8. Z Agencją należy kontaktować się kanałami kolporterskimi, a także do pośrednictwem redakcji: "Mostu", FWA, CDN - Głos Wolnego Robotnika, "Wolli" oraz w każdy inny rozsądny sposób.

SKUMWIŚKI

Włodzimierz Wowczuk

I nie popłynię dalej potok...

Redakcja pragnie podziękować Panu Włodzimierzowi Wowczukowi za udostępnienie tekstu pt. "1000-lecie Chrztu Rusi Kijowskiej". Jednocześnie przepraszamy Autora i Czytelników za dokonanie Zasadniczych skrótów, do czego zmusiły nas względy techniczne, oraz za zmianę tytułu.

"I nie popłynię dalej potok odcięty od swych źródeł..."

I nie będzie rosło drzewo pozbawione swych korzeni..."

Obchody 1000-lecia Chrztu Rusi Kijowskiej w czerwcu 1988 roku stały się wydarzeniem o rozległym rezonansie nie tylko religijnym i niekoniecznie w związku z tak doniosłą rocznicą. Można stwierdzić bez najmniejszej przesady, iż jeszcze nigdy dotychczas podobne jubileusze cerkiewne, nawet przed 1917 r., nie zwracały na siebie uwagi światowej społeczności, przedstawicieli różnych wyznań i orientacji ideologicznych, rządów i organizacji politycznych na całym świecie. Oczywiście, że rolę pierwszoplanową odegrały elementy pozareligijne, a to przede wszystkim w kontekście zapoczątkowanej w Rosji Sowieckiej dyskusji i przewartościowań z nią związanych nad "wieśej daty przeszłością liczącą zaledwie 70 lat; przeszłością nabrzmiałą beźmiarem cierpień, ofiar i tragedii narodu, który ogarnięty nową odmianą genetycznie zakodowanego mesjanizmu uwierzył, iż wskazuje ludzkości "nowe horyzonty", lecz niebawem sam znalazł się na rozdrożu dziejowym, a jego udziałem stał się niespotykany i wielopłaszczyznowy kryzys, w tym także k r y z y s s y s t e m u w a r t o b e c i :

Głasność i pierestrojka nie stanowią zespołu przedsięwzięć podejmowanych i realizowanych w kontekście zmiany ekipy rządzącej na Kremlu, pojawienia się w łonie aparatu władzy reformatorów; ekipy, która wyłoniła ze swego grona z n o w u męża obdarzonego szczególnymi cechami, charakterną, predestynowanego do wcielania w życie nowych, bardziej adekwatnych do rzeczywistości programów, których celem strategicznym jest osta-

to znany triumf doktryny w skali globalnej, aczkolwiek nie sposób negocjować, iż wymienione wyżej wyznaczniki sytuacyjne występowały i występują z roz-
sąlnym nasileniem.

Nie jest rzeczą przypadkową, że proklamowane głośno i pierestrojka miały jeszcze jeden czynnik, który "jakoś" zniknął już prawie na samym początku, a mianowicie - u s k o r i e u i e - czyli przyspieszenie. Sedno nie w tym, iż skrót kierunków działania przywodzi na myśl ponure reminiscencje, związane z masowymi represjami i terrorem leninowsko-stalinowskim, a więc GPU - to zapewne przypadek... Uskórczenie podkreślało d r a m a t y z m sytuacji, było jakby groźnym sementem; jak mówił Rosjanin: "Promiedlenie śmierci podobne!" /"Zwłoka równa się śmierci!"/. I to właśnie miał na myśli kreator nowego kursu w polityce tak wewnętrznej jak i zewnętrznej imperium Michaił Gorbaczow, kiedy wołał trzy lata temu: "Cokolwiek się stanie... jedno jest pewne - tak dalej żyć niepodobna!". I słusznie wołał, gdyż gasnąca dynamika rozwojowa w gospodarce wystąpiła już w latach sześćdziesiątych, a pogłębiła się w latach siedemdziesiątych; gdyż rozpadowi anachronicznych struktur w ekonomice towarzyszyły ponure zjawiska rozkładu struktur społecznych, jak: alkoholizm, narkomania, przestępczość, upadek rodziny i zanik jakichkolwiek więzi formalnych; gdyż okazało się, że n i e m a n a r o d u s o w i e c k i e g o w sensie politycznym, tak jak istnieje naród amerykański, a tendencje odrodkowe i konflikty narodowo-ciowe dają o sobie znać z niespytykaną i nawet nieoczekiwaną siłą. Jasne, że trzeba było się spieszyć, aczkolwiek reformatorzy rychło znaleźli się w niedościgle... Na dobrą sprawę nie ze swojej winy... Na radykalne reformy tak ekonomiczne jak i społeczno-polityczne był c z a s n a j w y ż s z y 30 lat temu! Ale to już zupełnie inna historia...

Stały się więc uroczystości milenijne na Rusi sowieckiej swego rodzaju testem dla intencji i szczeroci reformatorów. W miarę zbliżania się doniosłej rocznicy świat z ogromnym zainteresowaniem śledził przygotowania do obchodów czynione tak przez hierarchię cerkiewną, jak i przez władze państwowe, które - trzeba przyznać - odniosły ważki sukces propagandowy i to stosunkowo... tanim kosztem, przy niewielkich zgola konsekwencjach na rzecz Cerkwi i wierzących chrześcijan prawosławnych. Właściwie jedno założenie władz, a przede wszystkim partii, jak wiemy, p r o g r a m o w o a t e i s t y c z n e j, nie zostało zrealizowane w pełni. Nie udało się mianowicie /m.in. na skutek czynników zewnętrznych/ sprowadzić obchodów do rangi "imprezy" wyłącznie wewnętrzno-cerkiewnej, przede ograniczyć ich rezonansu do "niezbędnego minimum".

Nie zdołała partia bolszewicka udowodnić wyższości gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną... nie stworzyła ani "nowego narodu", ani też "nowego człowieka"... nie zapewniła obfitości dóbr materialnych, a ograbiła ludzi z wartości duchowych. Lecz w okresie poprzedzającym obchody, jak i podczas trwania uroczystości aparat partyjny, jego pion propagandowy, m a k s y m a l n i e wykorzystał we własnym interesie wszystko, co się działo w czerwcu już to w Moskwie, już to w Kijowie. Oczywiście - zgodnie z tradycją - władze cerkiewne, a przede wszystkim patriarchat wszechrosyjski, nie uchybiły niczemu, aby ułatwić państwu urzeczywistnienie przyjętych przezeń założeń.

4 Skończyły się podniosłe uroczystości. Odjechali goście zagraniczni.

Na łamach prasy światowej próżno szukać rzeczowych i obiektywnych komentarzy poświęconych 1000-leciu Chrztu Rusi Kijowskiej - kolebki państwowości rosyjskiej. Pozostały wszakże zasadniczej treści pytania, na które przyjdzie odpowiedzieć, których nie da się pominąć...

Jaka jest kondycja duchowa Rosjan - jaka jest prawdziwa sytuacja religii w państwie programowo ateistycznym?

Jak przedstawiają się prawa wierzących i postawa państwa wobec przyjętych na siebie w tej płaszczyźnie zobowiązań, przyjętych na forum międzynarodowym, pod presją światowej opinii publicznej?

Czy Cerkiew będzie miała udział w odbudowie zniszczonej infrastruktury duchowej społeczeństwa i czy hierarchia cerkiewna zdobędzie się na postawę aktywną?

Dlaczego cywilizacyjne i kulturowe linie obronne zostały przerwane właśnie w Rosji a "Iud boży" dał się znieślić i upodlić w sposób niespotykany w dziejach ludzkości?

Dlaczego chłopci, którzy na początku XX wieku stanowili 80% ludności Rosji, nie bronili skutecznie ani swojej ziemi, ani swych "wiałym", przeciwnie...?

Czy zbrodniarzy eksperymentu kolektywizacji rolnictwa nie odwołała i nie zabiła w ludziach ich tożsamość, ich jestestwo, ich godność?

Dlaczego instytucje cerkiewne okazały się tak mało odporne na niszczyielski tajfun rewolucyjny, który zmiotł je właściwie już w pierwszym impetie?

Skąd wypływa i dokąd zmierza nurt dziejowy państwa rosyjskiego, dziniosący zatrute wody?

Jak głęboko sięgają korzenie narodowe dzisiejszych Rosjan i czy mają je s z c z e życiodajną moc?

A może ma rację Aleksander Zinowiew, myśliciel i uczonec, wygnany ze swego kraju, iż "ideologia może wszystko zdobyć w społeczeństwie komunistycznym, ale nie może zdobyć najważniejszego - l u d z k i e j d u s z y !"
/.../

REWOLUCJA A LOSY CERKWI

Revolucja nie od razu uderzyła swym niszczyielskim impetem w instytucje cerkiewne, w hierarchię, kapłaństwo, aczkolwiek ekscesy antyreligijne miały miejsce w wielu regionach Rosji. Zwłaszcza kiedy z frontu zaczęły powracać otumanieni bolszewicką propagandą żołnierze. Dekret Rady Komisarzy Ludowych z 23 stycznia 1918 roku "o odłączeniu Kościoła od państwa i szkoły od Kościoła" nie pozostawiał żadnej nadziei...

"Wolność wykonywania obrzędów religijnych zostaje zapewniona na tyle, na ile nie jest ona sprzeczna z porządkiem społecznym i nie szkodzi prawom obywateli...". A więc mamy do czynienia z jedną z pierwszych próbek typowej dla komunistów stylistyki, dwuznaczności, a przede wszystkim redakcją umożliwiającą dowolną interpretację litery prawa. Oddzielenie Cerkwi, Kościoła, jakiegokolwiek organizacji religijnej od państwa jest prawomocne i wiarygodne jedynie wówczas, jeśli państwo jest neutralne!

Państwo programowo ateistyczne nie może być w "świetle norm prawa "gwarantem" wolności wyznań, swobody odprawiania praktyk religijnych: bezycja cerkwi prawosławnej w Rosji carskiej - państwie chrześcijańskim, którego społeczeństwo, wg. formalnych kryteriów, było absolutnie religijne; ugodywa postawa hierarchii cerkiewnej wobec władzy oraz słabość zwykłych kapłanów, ich niski autorytet moralny, nie sprzyjały, oczywiście, jakinkolwiek formom protestu społecznego przeciwko ewidentnym zagrożeniom ze strony rewolucji i władzy bolszewickiej: "Lud Boży" niejako przyzwyczaił się do rozprawy z i n n o w i e r s a m i bądź nawet staroobrzędowcami, których szykanowano /częstokroć z szacunku władz cerkiewnych/ niczym pogan lub jeszcze gorzej. Świątynie burzono w Rosji nie tylko "za bolszewików" i nie tylko przez nich były rozbijane "inne" społeczności wyznaniowe. U Leskowa w "Soborjach" można przeczytać taki oto równie ponury, co i wymowny opis niszczenia cerkiewki staroobrzędowców...

"Dziewiątego maja 1935 roku, w święto Mikołaja Gudotwórcy burzenie Dziejejskiej Kapliczki staroobrzędowców. Widok okropny, nieprzystojny i zaiste oburzający... Do tego krzyż żelazny z kopuły urwał się i zawisł na łańcuchach... Ciągnięty i szarpany dragami ludzi - spadł nagle w dół i jednemu rozwałił głowę... Sierozędnik zmarł na miejscu..."
Wszakże staroobrzędowcy e m i g r o w a l i z Rosji prawosławnej, m.in. do Kanady.

Obca Cerkwi prawosławnej była /jest?/ cecha charakterystyczna dla katolickiej wysli "Unitas in varietate, varietas in unitate" /Dostrzeżo piękno kwiatu róży bez względu na to, w jakim zakwitł on ogrodzie/. Ktoś powiedział kiedyś, iż "są narody, które lubią zwycięstwa, Rosjanie zaś pragną zawsze Rewolucji". Ten m a k s y m a l i z m d u s z y r o s y j s k i e j przyniósł straszliwe żniwo w dniach rewolucji, wojny domowej, kolektywizacji i "wielkiego terroru" lat trzydziestych. Mikołaj Berdiajew pisał: "Rosjanin pragnie nie mniej i nie więcej, jak zupełnego przeobrażenia życia i zbawienia świata".

Struktury nośne Cerkwi prawosławnej w Rosji okazały się niezwykle kruche i ugięły się przy pierwszych podmuchach niszczyielskiego huraganu rewolucyjnego. Żywiono na początku pewne z l i u d z e n i a e... Chętnie zapomniano, iż s a m wódz rewolucji opętany żądzą władzy - Włodzimierz Uljanow dążył do szybkiego zniszczenia religii jako takiej! "Religia - ścierwo rozkładające się, które swym smrodem zatruwa świat!" - pisał ów "myśliciel" do Maksyma Gorkiego.

W marcu 1922 r. w poufnej dyrektywie dotyczącej pasyfikacji Cerkwi prawosławnej, Uljanow-Lenin zalecał "krótkie, lecz potężne uderzenie w hierarchię i Kler oraz wspólnoty wierzących, gdyż długotrwałej presji naród nie wytrzyma..."

Jednym z pierwszych procesów pokazowych, na którym sądzono duchownych, był wspólny proces w 1922 roku 54 księży prawosławnych i katolickich.

Jednakże w początkach swego terrora i pasyfikacji Cerkwi bolszewicy próbowali również metod "legalnych", tworząc m.in. ruch "Żywej Cerkwi" /Ruch Odnowicieli Żywej Cerkwi/, którego zwolennicy występowali z programem przebudowy /pierestrojki/ Cerkwi i dostosowania jej instytucji do nowych, porwulucyjnych warunków społeczno-ekonomicznych. Przede wszystkim jednak "odnowiciele" rozpętali gwałtowną krytykę hierarchii cerkiew-

nej w osobie patriarchy Tichona. Patriarcha na początku lat dwudziestych zwracał się do władz rewolucyjnych z apelami o zaniechanie terrorku, o zakaz likwidacji świątyń, o nieprześladowanie wiernych. Zagroził też Tichon ekskomuniką i zrealizował swój zamiar. Zwyczajowo /z inspiracji bolszewików/ w 1923 r. "sobór powszechny", którego uczestnicy /starannie dobrani/ usunęli patriarchę. Tichona natychmiast uwięziono i... Zapropomowano Mu "układy". Patriarcha miał odwołać ekskomunikę i zwrócić się do wiernych z nowym apelem o "lojalną" postawę wobec władzy, która miała być teraz... lepsza. Tichon nie znał bolszewików. Poprzestał więc na "ugodzie"; spełnił warunki władzy... po czym został ponownie uwięziony i wkrótce zginął w "niewyjaśnionych okolicznościach". Ukradziono więc nieszczęsnemu Tichonowi nawet koronę cierniową! Jak pamiętamy /za Iwana Groźnego/ w tym kraju można było "zwyczajnie" udusić głowę Cerkwi i nawet przed nikim nie odpowiadać za tę zbrodnię...

O hierarchii prawosławnej mówił niezwykle trafnie tzw. tajny biskup na Rosję - Michel d'Herbigny, francuski jezuita, przebywający z misją specjalną w latach dwudziestych w Rosji Sowieckiej.

"Kościołem prawosławnym kierują ludzie bardzo zamknięci, gdy chodzi o dziedzinę teologiczną i bierni w dziedzinie politycznej".

"Krótkie lecz potężne uderzenie" w hierarchię i kler prawosławny, które zalecał Uljanow-Lenin przyniosło określone efekty, lecz w latach dwudziestych "strategiczny" cel nie został osiągnięty - cerkiew nie legła całkowicie w gruzach i nie wszyscy wierni zapomnieli o Bogu, nie wszyscy odwrócili się od Cerkwi i jej straszliwie prześladowanych kapłanów.

Kolejny cios - k o l e k t y w i z a c j a - jedynie pośrednio była skierowana przeciwko Cerkwi, chodziło o cały stan chłopski - ostatnią "redutę" biernego oporu przeciwko bolszewizacji Rosji. Bolszewicy, jak wiadomo, już w pierwszych dniach przewrotu, po rozpadzeniu Konstytuanty /"Uczeszczeni Sobranie"/, otworzyli ogień z karabinów maszynowych do demonstracji robotników, którzy wystąpili w obronie legalnie wybranego ciała ustawodawczego, tego parlamentu, w którym bolszewicy znaleźli się w mniejszości /!/. Bolszewicy, jak wiadomo, w marcu 1921 r. krwawo stłumili powstanie w Kronsztadzie, bezlitośnie pacyfikując zrewoltowanych marynarzy /"chluba i duma rewolucji"/, domagających się "rad bez bolszewików"... Bolszewicy ogniem i mieczem likwidowali bunt chłopskie w centralnej Rosji i powstanie robotników na Uralu... To wszystko nie miało nic wspólnego z "białym ruchem" i nie było żadnym fragmentem wojny domowej, j u ż wygranej przez bolszewików! Kolektywizacja nie stanowiła wyłączenie celu ekonomicznego... "Jeżeli zabiera się ludziom ich rodzinną ziemię - pisze Nadieżda Mandelsztam - zabiera się im więcej niż ziemię. Bo w tej ziemi tkwi ich przeszłość, ich korzenie, ich prawdziwe j e s t e s t w o. Jeżeli zabiera się im rzeczy, które przywykli widzieć i które spodziewają się zawsze zobaczyć, można im równie dobrze zabrać oczy..."

Chłopstwo - w ocenach bolszewików - pozostawało jedyną warstwą społeczną - potencjalnie niebezpieczną dla wszechwładzy partii, czyli aparatu partyjnego, a więc n o m e n k l a t u r y, która jawnie zdradzała tak kompleks antyreligijny, jak i kompleks antychłopski, jak również nie ufała robotnikom!

"Antyreligijny kompleks bolszewików - stwierdza Szczęsny Trzymalski - powiększał się w miarę upływu czasu. Korzystano z każdego pretekstu, by zniszczyć to, co kościoł prawosławny jeszcze uratował po okresie terrorku rewolucji i wojny domowej". Kodeks karny przewidywał roboty przymusowe za nauczanie religii, seminaria duchowne zostały zamknięte, klasztory zlikwidowane, "czornoje duchowienstwo" /mnisi/ skazane na niebyt.

Jeśli w 1914 r. było w Rosji 14 diecezji, to w 1939 r. w statystykach nie figurowała ani jedna. Na 163 biskupów pozostało przed wojną 4; na przeszko 51 tys. księży diecezjalnych - zostało ok. 100; z 54 tys. cerkwi ocalało - ok. 100.

II wojna światowa, inwazja Niemców na Rosję Sowiecką, straszliwe klęski w pierwszym okresie wojny wpłynęły na zmianę sytuacji Cerkwi Prawosławnej, na zmianę stosunku władz państwowych do jej instytucji i duchownych. Cerkiew, niepomna doznanych krzywd i popełnionych na niej zbrodni, spełniła do końca swój patriotyczny obowiązek, mobilizując wiernych do obrony "socjalistycznej ojczyzny", łożąc poważne kwoty na szale zwycięstwa i niczego nie żądając w zamian.

Trzeba powiedzieć, iż Jekatierin Dżugaszwili-Stalin, jak wiadomo, alumn seminarium duchownego w Tyflisie /był ministrantem i śpiewał w chórze cerkiewnym/ u schyłku swego koszmarnego życia jak każdy stary człowiek, zwracał się coraz częściej ku przeszłości. Stąd "przychylny" stosunek do Cerkwi /nawet po wojnie/ stąd też reforma oświaty, m.in. wprowadzenie oddzielnych szkół dla dziewcząt i chłopców oraz uniformów, nawiązujących do przedrewolucyjnych wzorów; stąd jego ustawiczne odwoływania się do "tradycji", do historii, do terminologii archaicznej... "Nie mnie dziękujcie, lecz Partia, która mnie stworzyła na obraz i podobieństwo własne"... "Potwory rodzaju ludzkiego podnieśli rękę na naszego ulubionego őrucha Palmiro Togliatti'ego".

Artykuł 52 /rozdział 7/ Konstytucji ZSRR, zapewniający "wolność sumienia", a więc prawo do wyznawania każdej religii lub niewyznawania żadnej - jest wprost bez zarzutu. Czy to nie brzmi budząco:

"Wzniesienie wrogości i nienawiści w świetle przekonań religijnych zakazuje się". I nigdzie nie jest powiedziane /chyba że w poufnych dyrektywach/, że w praktyce nadal nie wolno nauczać dzieci religii; że nie wolno duchownym wynajmować pomieszczeń dla celów związanych z odprawianiem nabożeństw tam, gdzie brak świątyni, a nawet nie wolno wynajmować mieszkań dla księdza, jeśli przy parafii nie ma warunków do zamieszkania; że nie wolno prześladować ludzi, jeżeli pragną oni wziąć - lub bądź zaistwić pogrzeb cerkiewny, nie mówiąc już o tym, jeżeli chcą ochrzcić dziecko...

Jest pewnym paradoksem, iż kolejne j a w n e prześladowania Cerkwi i wiernych miały miejsce za rządów "liberals" Nikity Chruszczowa, na początku lat sześćdziesiątych, kiedy liczba cerkwi i świątyni /kapliczek/, która wynosiła znowu w 1953 r. - ok. 15 tys., zmalała w 1968 r. do 6800!

CERKIEW W DOBIE PIERESTROJKI

Wydaje się, że samo pojęcie "cerkiew" nie jest absolutnie jednoznaczne. Istnieje bowiem cerkiew "oficjalna", niejako fasadowa i cerkiew "rzeczywista" lub p o d z i e m n a .

Ojciec Gleb Jakurin /do 1987 r. w obozie koncentracyjnym/ jest autorem głośnej w latach siedemdziesiątych pracy pt. "Cerkiew w podziemiu" oraz "Odrodzenie prawosławia - praca z młodzieżą", jak również Listu Otwartego do Patriarchy, w którym przedstawił tragiczną sytuację Cerkwi prawosławnej w Rosji Sowieckiej. Ponoć, po przeczytaniu listu, patriarcha ciężko westchnął... "Wszystko to prawda...", po czym pozbawił odważnego kapłana probostwa i bynajmniej nie zaprotastował, kiedy został on uwieczniony. Metropolita Nekodem zaś /ozołowa postać patriarchatu/, naciskany na tę okoliczność przez dziennikarzy zagranicznych, oświadczył: "Modlimy się o spokój duszy naszego brata". Niewiele, trzeba przyznać.

Również milczaka i milczyca nadał w dobie pierestrojki hierarchia cerkiewna w sprawie innego więźnia sumienia - diakona Włodzimierza Rusaka, autora dwutomowej pracy poświęconej tragedii Cerkwi prawosławnej i wiernych od 1917 r. Dostał 7 lat obozu koncentracyjnego i 5 lat zesłania.

W pewnym poufnym partyjnym dokumencie, który trafił na Zachód i w marcu 1985 roku został ujawniony na konferencji prasowej w USA, stwierdza się, że Patriarcha Pimen i metropolita Nekodem oraz inni dostojnicy cerkiewni są w pełni świadomi, że władza państwa nie pragnie rozpowszechniania praktyk i kultu religijnego, a przeto przyjmują oni "do sprobujanej wiadomości" i w niczym nie utrudniają państwu realizacji jego polityki wewnętrznej... Natomiast w miarę swoich sił i możliwości, które wcale nie stwarza im państwo, aktywnie popierają jego politykę zagraniczną, zwłaszcza osławioną "walkę o pokój", w kontekście której ojcowie Cerkwi potępiają instalację Pershingów i popierają faktycznie rakiety SS-20...

Co można powiedzieć o postawie i o j a l n o ś c i wobec Cerkwi i swoistej postawy hierarchii, jeśli ustami metropolity Nekodema wyrzekła się ona p o d s t a w o w y c h zasad istnienia Cerkwi, czego s e n s u jej egzystencji na tym padole:

- Nauczanie dzieci religii jest gwałtem na jeszcze nie ukształtowanej osobowości;
- Skoro wszystkie problemy socjalne zostały rozwiązane przez państwo socjalistyczne, misja charytatywna Cerkwi traci swój sens.

A więc ani katechizacja, ani dobroczynność! Cóż pozostaje? Walka o pokój, oczywiście...

Gwoli ścisłości wypowiedź hierarchy pochodzi z połowy lat osiemdziesiątych, a więc sprzed pierestrojki. Tylko doprawdy nie ma to aż tak istotnego znaczenia, skoro 39-letni diakon Włodzimierz Rusak - autor dwutomowego dzieła, poświęconego tragicznym dziejom Cerkwi prawosławnej od 1917 roku n a d a l znajduje się w Permskim obozie koncentracyjnym, znanym ze szczególnie ostrego reżimu i wręcz sadystycznego traktowania więźniów sumienia. Może ktoś w tym miejscu powie... "Przecież niedawno, w ramach głośności, władze sowieckie umożliwiły gościom z Zachodu odwiedzenie tej "Usprawiedliwio-Trudowej Kolonii", jak to brzmi w oficjalnym leksykonie... Tak, umożliwili i pokazali to, co chcieli pokazać, lecz nie pozwolili na spotkanie z więźniami sumienia!

Według publikowanych danych liczbę wiernych w Rosji Sowieckiej oblicza się na 40 mln osób, co wydaje się być wręcz imponujące, niemal niewiarygodne... Jest obecnie 67 diecezji i 74 biskupów; 6800 parafii i 6674 księży oraz 723 diakonów; jest 19 klasztorów; 2 akademie i 3 se-

minaria duchowne oraz 2000 alumnów.

Zaczę ktoś powie... O co chodzi... W porządku... Przytoczę tedy wymowną informację: od września 1987 roku do lipca 1988 roku do patriarchatu moskiewskiego wpływa ok. 50 /słownie: pięćdziesięciu/ podań dziennie dotyczących rejestracji nowych bądź restauracji starych parafii. W tym samym czasie wydano zezwoleń 47 /słownie: czterdzieści siedem/...

No, a uroczystości z okazji 1000-lecia Chrztu Rusi Kijowskiej przebieg... W październiku 1987 roku arcybiskup Astrachański Teodozjusz wystąpił do Michaiła Gorbaczowa z dramatycznym i oskarżycielskim listem dotyczącym m.in. pożałowania godnego stanu Kijowsko-Pieczerskiej Javry zamkniętej jeszcze przez Chruszczowa i ulegającej systematycznej dewastacji. Obiekt klasy "zerowej" w rejestrze UNESCO! Belszewicy - mistrzowie gestów i gry pozorów - raz jeszcze - raz jeszcze, w dniach uroczystości milenijnych, dali próbkę swoich umiejętności...

Na stwierdzenie dziennikarza "Ogonioka", iż "w terenie na każdym kroku są naruszane konstytucyjne prawa wierzących, ustawa o kultach religijnych"... przewodniczący Rady ds. Wyznań, Konstantin Charczew odpowiada: "...zbyt katoryczne stwierdzenie... Ale nie ulega wątpliwości, że w tej dziedzinie życia społecznego nadal jest dużo, bardzo dużo nie rozstrzygniętych spraw. Wciąż jeszcze są działacze, którzy nie liczą się z normą prawa..."

Konstantin Charczew nie występuje dziś w skórzanej kurtce z muszerem czy naganem przy boku, z bronią, z której jego poprzednicy - komisarze lub oczekici bez najmniejszych zahamowań robili użytek "bez sądu i śledstwa" /bez sądu i dochodzenia/. Pamiętajmy, że tylko w okresie 1918-1923 zamordowano w Rosji Sowieckiej 23 biskupów; w 1924/25 w więzieniach i na zesłaniu było 66 biskupów; zmarło natomiast śmiertelnie "naturalną" w latach 1918-1937 - 105 biskupów. Zgładzonych i zamęczonych kapłanów oraz mnichów liczyć trzeba na d z i e s i ą t k i t y s i ę c y !

Konstantin Charczew woli o tym nie wspominać... Jego Zadaniem jest t w o r z e n i e p o z o r ó w, co on, elegancki sowiecki urzędnik, ateista z przekonania /o ile urzędnicy sowiecy mają jeszcze jakiegokolwiek przekonania/ realizuje z całą konsekwencją. Jest e l a s t y c z n y i potrafi powiedzieć: "...jestem głęboko przekonany, że stosunek ludzi wierzących do przebudowy w dużym stopniu decyduje o jej losach..." Lecz zarazem, odnosząc się do przeszłości, uprawia żenującą wręcz retorykę: "Idealny Październik - sprawiedliwość, wolność, równość - współbrzmiały z bliskimi osobom wierzącym ideałami chrześcijaństwa. Skłonność bolszewików do ofiar /sici/, ich osobista skromność, niemyślenie o sobie - wszystko to - mimo woli - musiało wierzącym /innymi słowy większość ludności kraju/ kojarzyć się z postawą męczenników za wiarę, których w Rosji zawsze tak czołono..."

Konstantin Charczew zapewnia opinię publiczną /przede wszystkim światową.../, że nowa "ustawa o kultach religijnych" niebawem ujrzy światło dzienne... Nie ma nawet projektu. Obowiązująca zaś Ustawa z kwietnia 1929 roku /szczególnie art.17/ składa się niemal z samych zakazów! Zapewniał, oczywiście, przed uroczystościami milenijnymi... Na razie zaś, jak wynika z relacji prasy, w obwodzie kirowskim zakazano bicia w dzwony cerkiewne, gdyż "przeszkadza to widcom z pobliskiego kina"... Na razie zaś wykorzystuje się ambonę i niektóre osoby duchowne dla celów

zgoła przyziemnych, dla balawutnej propagandy, dla zaciemniania przeszłości i fałszowania historii. Na centralnych uroczystościach z okazji 1000-lecia Chrztu Rusi Kijowskiej, egzarcha Ukrainy, metropolita Filaret, o którym mówi się, że jest ponoć "najbardziej śmiałym spośród innych ojców Cerkwi", podkreślając zacięgi chrześcijaństwa dla całokształtu języka i piśmiennictwa, mówi zarazem o "powstaniu wspólnej tożsamości państwowej Ukraińców, Białorusinów i Rosjan", niczym urzędowy, partyjny mówca monotonna powtarzający frazesy o "bratniej rodzinie narodów", o "sowieckim narodzie" i to w dobie, kiedy rozruchy w Kazachstanie, ekscesy w Stepankercie, ferment w republikach nadbałtyckich, zadąży druzgocący cięś wszelkim "pobożnym" i "partyjnym" życzeniom w tym względzie, kiedy stało się jasne, że nie ma narodu świeckiego w sensie politycznym.

Jest zaiste zajmujące, jak propaganda sowiecka ustosunkowywała się do Milenium Rusi Kijowskiej w ciągu miesięcy poprzedzających ów doniosły jubileusz; jakie meandry ochowały zabiegi urzędowych agitatorów; do jakich niskieży wręcz śmiesznych tricków uciekano się... Famiłtamy o "teorii normańskiej" powstania państwa na Kijowszczyźnie, tak zaciekle zwalczanej przez historiografię sowiecką... A tu nagle zdumiony czytelnik dowiada się, że "nie jest to właściwie żadne 1000-lecie, że "zgoła nieszczęśliwie pominięto p r a w d z i w y jubileusz 1125-lecia powstania państwa" itd., itp. Innymi słowy, nawiązano do legendarnej wyprawy drużyny Waregów pod wodzą Askolda i Dira i założenia przez nich Kijowa w 862 roku. A więc, lepsza nawet "teoria normańska" niż związki Kijowszczyzny i całej Rusi z chrześcijaństwem!

ZAMIAST KONKLUZJI

Niedawno w prasie Zachodnioniemieckiej /1/ znany sowiecki uczonej Michaił Epsztajn zamieścił arcyciekawy artykuł poświęcony związkom /a raczej brakowi związków/ kultury rosyjskiej z kulturą europejską, kulturą światową. Autor mówił z wielkim przejęciem o niepowtarzanych strekach z tego powodu dla kultury rosyjskiej, wymieniając jako jedną z przyczyn zasadniczych patologiczne zjawisko, które nazwał "d z u m a i z o t l a c j o n i z m u". Wydaje się, że Autor nie eksponował nawet nadmiernie odpowiedzialności za ten stan rzeczy twórców paranoicznego systemu /albo "wielkiego eksperymentu", jak określa się ten fenomen w kołach lewicowych Zachodu/ i chyba skuszenie. Bowiem k o r z e n i e sięgają głęboko... w głąb dziejów Rusi Kijowskiej, Rusi Moskiewskiej, imperium rosyjskiego, no i, oczywiście, imperium sowieckiego. Przypomnijmy, że mówiliśmy na wstępie o "źródłach" wiary i państwa. Jednym z tych źródeł było B i z a n c j u m, skąd Ruś otrzymała nie tylko wiarę, ale i zadania oraz instytucje państwowe, które ustaliły o d r e b n o ść Rosji od Zachodu! Następnie była niewola mongolako-tatarska, która tę odrębność p o g ł ę b i ła, wyciskając niezatarte piętno w psychice i mentalności Rosjan.

Pojęcie cywilizacji stepowo-bizantyjskiej nie jest wynikiem spekulacji naukowych, efektowną ekwilibrystyką słowną, jest r z e c z y w i s t o ś c i ą.

Linie obronne cywilizacyjne i kulturowe, pojmowane uniwersalnie, były skażone i bardzo skąpe na tym obszarze z a w s z e... Dlatego też zos-

tały łatwo przerwane przez wojujący materializm, zwany marksizmem, a właściwie należałoby mówić o bolszewizmie jako rosyjskiej /wulgarniej/ interpretacji marksizmu.

Umysł Rusa nigdy nie był wolnym. Natomiast nauczyli się Rosjanie /bądź ich nauczono.../ dumnie obnosić się ze swoim jarzmem, a nawet "propagować", częściej narzucać to jarzmo innym. Stąd wspomniany również z akordowany mesjanizm Rosjan, który w epoce "wielkiego eksperymentu" /Bogu dzięki! dobiegającemu końca.../ stał się szczególnie groźny... W istocie... cywilizacja stopowo-bizantyjska, a pojęcie to wprowadził do nauki historii polski profesor Feliks Konieczny, zdzerżył się nie jeden raz z cywilizacją śródziemnomorską bądź z cywilizacją chińską, gdyż była młoda /względem wymiaronych/, najmłodsza ze wszystkich, z istoty swej ekspansjonistyczna, jak również destrukcyjna. Ta cywilizacja rozpowszechniała się, jak żadna inna w dziejach ludzkości i, zgodnie z prawami historii, upadała w jednym miejscu, a powstawała gdzieś indziej, zachowując się gładko i odrębnie, właściwie podstawowe warunki jej egzystencji.

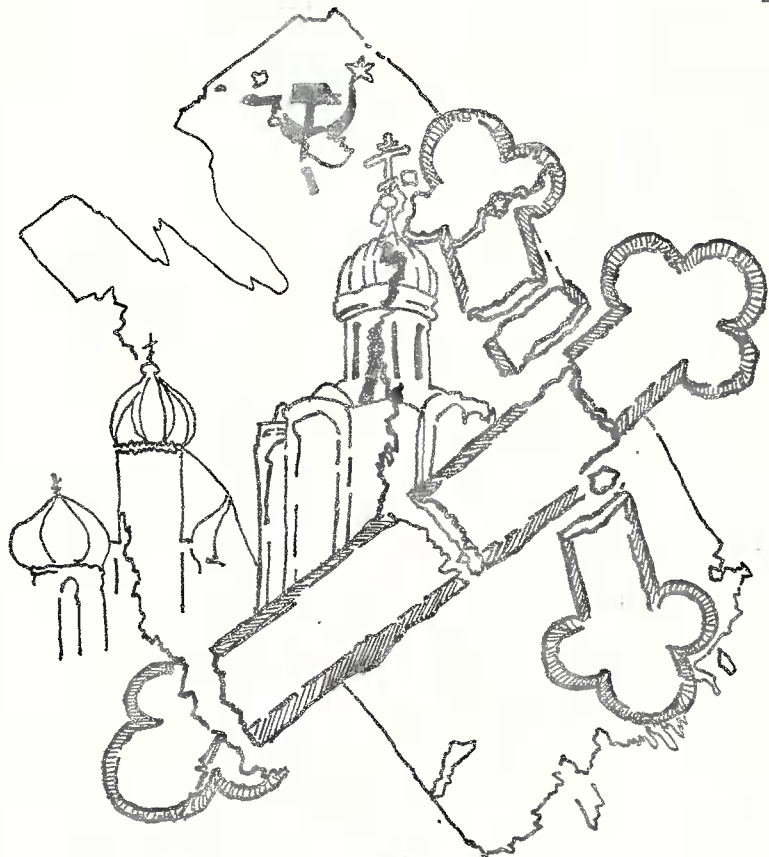
Dziś Rosjanie wydają się być świadomi /przynajmniej, upiśniona część tej społeczności/ swojej dziejowej klęski. O "wielkim eksperymentach" będą mówić stopniowo coraz rzadziej... Przegrali "wyciąg" techniczny i technologiczny /mogą powtarzać na użytek własny, iż "oczwarty naukowiec na kuli ziemskiej mieszka w Rosji"... no i co z tego wynika?/, mają w ręku szeregki mesjanistycznej ideologii, na którą już nie ma zapotrzebowania nigdzie i ponurą perspektywę rozkładającej się ekonomiki, jak również degrengoladę duchową dotkniętego wszystkimi możliwymi plagami społeczeństwa.

Jeśli władcy państwa i zniewolonych umysłów obywateli /właściwie... nie ma tam i nie było nigdy społeczeństwa obywatelskiego/ nie zdecydują się przede wszystkim na otwarcie, na rezygnację z "odrębności", na porzucenie anachronicznego mesjanizmu, który dziś wygląda zaobronie, na dyfuzjonizm kulturowy, na tolerancję intelektualną i tolerancję religijną, a ojcowie Cerkwi, szczerze i bez uprzedzeń, nie zaczęły działać na rzecz wielkiej idei ekumenicznej i to nie zależenie od państwa... trudno oczekiwać istotnych przemian na tym obszarze.

Tylko powrót do źródeł prawdziwej wiary chrześcijańskiej i przywołanie zasad autentycznego humanizmu; tylko głęboka i krytyczna zarazem zaduma nad kwestią korzeni własnej tożsamości; tylko odrzucenie fałszywych idei i odwrócenie się od fałszywych proroków... może zapoczątkować długie i bolesny proces prawdziwego odrodzenia... Gdyby tam, gdzie zawsze istniał "lud" lub "masy", a nie było miejsca dla jednostki, dotarły słowa Papieża Jana Pawła II o godności człowieka i jego powołaniu do życia z Bogiem... gdyby tam, gdzie serwana została moralna więź człowieka z pracą, dano ludziom przeczytać słowa Encykliki "Laborem Exercens"... gdyby wielka idea ekumeniczna a przynajmniej do zniewolonych umysłów... gdyby odrzucono i potępiono materializm - religie zorganizowanej nienawiści, a ludzie pojęli wreszcie, iż nie "walka klasowa" jest motorem dążeń ludzkości, lecz głęboko zakorzenione w każdym człowieku dążenie do Prawdy, Sprawiedliwości i Miłości, do życia bez klamstwa... gdyby Zechcieli zgod-

dzie się, iż mają moralnie skażoną historię, a "komunizm może urodzić się wszędzie - jak powiedział wybitny Rosjanin, Aleksander Zinowiew - gdzie społeczeństwo rezygnuje z wysiłku bycia ludźmi, gdzie człowiek porzuca wysiłek bycia człowiekiem"... ROSJANIE MUSZĄ PODJĄĆ SWOJ WIELKI DIALOG Z LUDZKOSCIĄ... Zanim będzie za późno, jeśli jeszcze my wszyscy mamy czas... "Się pobiedisz"... In hoc signo vinces!

Warszawa, sierpień 1986



Gabriela Groblewska

Poza granicami wyobraźni

"Z wszystkich innowacji wprowadzonych przez człowieka do domostwa przyrody najniebezpieczniejsze i najgłębsze są zmiany powodowane przez wprowadzone na wielką skalę rozszczepienia atomu. Promieniowanie jonizujące stało się dziś najpoważniejszym czynnikiem zanieczyszczenia środowiska i największym zagrożeniem dla ludzkości. Jeśli idzie o bombę atomową, której laicy poświęcają tyle uwagi, to przynajmniej jest szansa, że nie zostanie ona użyta. Zagrożenie dla człowieka ze strony tak zwanych kozłowych zastosowań energii atomowej może okazać się o stokrót większe". - pisar E. F. Schumacher w wydanej w 1973 roku książce "Small is beautiful" /Małe jest piękne - wyd. pol. 1981 r./.

Schumacher ostrzegali na kilka lat przed pierwszą lekcją, jaką była awaria elektrowni atomowej Three Mile Island pod Harrisburgiem w Stanach Zjednoczonych. A zaczęło się z pozoru niewinnie. 26 marca 1979 roku usterka zmusiła obsługę do awaryjnego wyłączenia reaktora. Potrzymana została reakcja łańcuchowa, a także - błędna decyzją operatorów - wszystkie układy chłodzące. Resztkowe ciepło wydzielane w rozpadach promieniotwórczych produktów rozszczepienia przez kilka godzin ogrzewało wnętrze reaktora. Światołnie wrząca woda uszkodziła część elementów paliwowych. Wypalenie i awarie rurki prętów ze stopu cyrkonu uległy zniszczeniu, natomiast para wodna pod wpływem ciśnienia, spowodowała otwarcie zaworu bezpieczeństwa nad stabilizatorem ciśnienia. W ten sposób na zewnątrz obiegu chłodzącego, do budynku reaktora, wydostało się 1150 ton wody silnie skażonej produktami rozszczepienia. Na szczęście awarie wytrzymały zewnętrzne obudowy bezpieczeństwa /nie stosowane w elektrowniach radzieckich/. Groźne substancje były zamknięte w pomieszczeniach reaktora. Można było skorzystać z błogosławionego działania czasu i czekać... czekać na zmniejszenie aktywności najgroźniejszych substancji. ●

O awarii w tej elektrowni mówilo się, że polegała na rozszczelnieniu koszulek w dużej ilości prętów paliwowych. Poznanie rzeczywistych zniszczeń we wnętrzu reaktora rozpoczęło się dopiero w lipcu 1982 roku, kiedy stało się możliwe zajrzenie do środka. I wtedy okazało się, wbrew wcześniejszym domniemaniom, że w części rdzenia nie ma uranu - wytopił się. Tak więc prognozy o ponownym uruchomieniu elektrowni po kilku latach oka-

zały się zbyt optymistyczne. Jak twierdzi wielu specjalistów operacja "oczyszczania" trwać będzie jeszcze w XXI wieku! Nie ma takiej siły, która pozwoliłaby przyspieszyć usuwanie skutków "awarii". Nie uszkodzona obudowa bezpieczeństwa nie zmusza do pośpiechu, pozwala na obserwację, szczególnie szalenie sytuacji i wnioski...

"W Stanach Zjednoczonych od 1979 roku nie zlecono budowy żadnego nowego reaktora energetycznego".

LEKCJA CZARNOBYLA - ZAPLANOWANY EKSPERYMENT

Celem owego eksperymentu było sprawdzenie, jak długo parowe turbiny wytwarzają energię elektryczną w razie nieoczekiwanego spadku mocy reaktora. Doświadczenie poprzedzone zostało wieloma przygotowaniem. Rozpoczęto je w piątek w nocy 25 kwietnia zgodnie z instrukcją zawartą w "Roboczym programie badań turbogenerators nr 8 Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej". W nocy 26 kwietnia o godz. 1 min. 23 i 4 sekundy przystąpiono do eksperymentu. "W 40 sekund po rozpoczęciu doświadczenia nadzorujący uświadomił sobie grozę sytuacji i usiłował ją opanować wprowadzając próby kontrolne /wcześniej usunięte, żeby nie przeszkadzały w eksperymencie - przyp. aut./. Niestety nie zdołał..." O godzinie pierwszej dwadzieścia cztery nastąpiły dwa wybuchy. Pierwszy - pary wodnej - spowodował rozzerwanie przewodów w rdzeniu reaktora, drugi - wodoru - zmiotł dach budynku. Odstąpiony grafit zaczął płonąć. Tyle w dużym skrócie i uproszczeniu wiadomo z oficjalnych źródeł.

A potem...

Radioaktywny obłok przemieszczał się nad ościennymi państwami cicho i bezszelustnie, świadcząc o wyższości idei... nad zdrowym rozsądkiem. Pierwsi zareagowali Szwedzi i "wrogie nam ośrodki na Zachodzie".

450 km od naszej wschodniej granicy, od soboty 26 kwietnia płonie reaktor. A u nas...

U nas prasa donosi o przygotowaniach do majowego pochodu, oświetlonym wstroju ulic, pracach polowych...

U nas, dopiero 29 kwietnia, we wtorek wieczorem po dzienniku telewizyjnym, enigmatyczny komunikat zaleca w północno-wschodnim regionie podawanie dzieciom do lat 16 piynu Ingola. Senny o tej porze Białystok zmienił się w gwałtownie przebudzone mrowisko. Prawie do rana pod aptekami ustawiały się kolejki. Grzecznie i karnie przynoszono butelczki na płyn Ingola, książeczki zdrowia, dowody osobiste... Jedynie dzieci, wyrwane ze snu i wleczone do aptek, przychodni i ośrodków zdrowia, reagowały w sposób właściwy ich człowieczej naturze, nie zważając na kontrolujące karność kolejek, wojskowe i milicyjne woźgi oraz nysy. Gdyby nie śrewniane, umundurowane twardze za szybami, rzec by można, że to samonody widma same przemieszczają się spod jednej apteki pod drugą. Podjeżdżały cicho, obserwowały i odpływały. Nie zdarzyło się, sby zaproponowano odwiezienie którejś matce z dzieckiem. Skąpą wiedzę i najniezbędniejsze informacje przeeazywano sobie szepem w kolejkach.

Lokalna rozgłośnia radiowa /Środa/ w porannym serwisie informacyjnym donosi: o akademiach i wieczach z okazji majowego Święta, o zakończeniu gminnych, miejskich i miejsko-gminnych konferencji przedzjazdowych PZFR. Na zakończenie zaś, prowadzący zapowiedział: "I jeszcze

komunikat: w związku z przemieszczeniem się nad Polską chmury radioaktywnej w województwach północno-wschodniego regionu podjęto działania profilaktyczne. W województwie łódzkim od wczoraj, od godz. 21.30 do 13.30 idzie w walczących przyrodnicach, brodacach Szrowia, aptekach dyżurnych i oddziałach pomocy społecznej, iziściom do lat 15 wydawany będzie pył Lugola według następującego sawk /.../".

Nieznającami Ukrainy i Białorusi nikt się nie interesuje. Wielu z nich iowiadziawszy się z polskiego radia o podawaniu iziściom i młodzieży pąynu Lurola, trafia do szpitali po zazyciu dwyżej jodyny. Latrudniona w elextromni Kucharaa, następnego dnia po katastrofie udaje się do pracy, nie wie dzie o zagrożeniu. Po drodze przeszła przez Łokę z wysoko trawą, pokryta radioaktywnym pyłem. z ciężkimi poparczeniami nog, w szpitalu bęzie walcząc o życie. W odległości 3 km od miejsca katastrofy - tarczycę zięci wondony ławkę promieniowania 50-krotnie wyższą od przyjętej dopuszczalnej; dla osób zatrudnionych w elektrowniach atomowych w ciągu roku pracy.

Samym Szarnobylu przez pierwszą dobę prowadzi się jedynie akcję gaszcenia pożaru. Wasto przyćmiac, że pożar grafitu w reaktorze nr 4 był najgroźniejszym z wryziestw, jakie miały miejsce na terenie elektrowni. W tym samym czasie trzy pozostałe reaktory pracują. Pracują mimo że w szkieł, zawiła mogą być objęte pożarem!!! Dopiero w 16 godzin po wybuchu reaktor wyłączoney znajdujący się w strefie ognia, smieszni reaktor nr 5. Dwa pozostałe zatrzymane zostają po następnym dniu godzinach. z kondonie katastrofy wiatr wieje w kierunku Szandymawii a nie Kijowa. Dlatego też, mimo względnej bliskości od miejsca katastrofy, mieszkańcy Kijowa zostali w pierwszej zniach w mniejszym stopniu dotknięci jej bezpośrednimi skutkami. Dopiero kiedy wiatr zmienił kierunek /5 maja/ natężenie promieniowania wzrosło do poziomu 30-krotnie przekraczającego poziom tła.

27 kwietnia przybyła z Moskwy grupa ekspertów, zastaje zamiast - jak głosiły komunikaty - pożaru w zasacnie opianowanej - granitowa pochodnię wyrzucająca na wysokość 3000 metrów popioły i pary materiałów z płonącego rdzenia. Pierwsze pomiary stopnia skażenia nie były możliwe - promieniowanie niszczyło układy elektroniczne przyrządów pomiarowych. Przy czym należy pamiętać, że ugaszenie płonącego reaktora wcale nie jest równoznaczne z zatrzymaniem emisji substancji radioaktywnych. Icdwzrymac emitowanie tych substancji może jedynie przykrycie reaktora kopcem ze specjalnej mieszanki. z helikopter w na płonący reaktor zrzucono:

- 40 ton węgla bora /pochłania wolne neutrony/
 - 300 ton dolomitu /wydzielający się z niego dwutlenek węgla tłumi pożar grafitu/
 - 2400 ton okowiu /zmniejsza emisję promieniowania/
- oraz tysiące ton piasku i gliny.

W ten sposób 70-metrowej wysokości budynek przykryty został warstwą grubości 1 m. Prace budowie kopca zakończono 2 maja. Promieniowanie na zewnątrz zmalało, co nie znaczy, że zatrzymane zostały reakcje łańcuchowe wewnątrz kopca. W tak izolowanym bunkrze resztkowe ciepło wydzielające się z pozostałości rdzenia powoduje wzrost temperatury i wzrost emisji cząstek radioaktywnych. W nocy z 5 na 6 maja promieniowanie osiąga 2/3 poziomu z pierwszej doby po katastrofie. Wzrost temperatury grozi przeto-

pieniem fundamentów pod budynkiem i skażeniem wód gruntowych. Stąd konieczność budowy specjalnie chłodzonych /ciekłym azotem/ zapór, tuneli i podziemnych korytarzy ochronnych. Wszystkie te prace, łącznie z przykryciem hali turbin uszkodzonego reaktora zakończone zostały w listopadzie 1986 roku.

Według opinii specjalistów radzieckich skutki katastrofy w Czarnobylu dałoby się znacznie złagodzić, gdyby w działaniach ratunkowych było mniej improwizacji. "Ani dyrekcja elektrowni, ani nikt inny nie miał gotowego planu postępowania na wypadek katastrofy. Katastrofa tej skali w ogóle nie była brana pod uwagę, ponieważ okoliczności, które do niej doprowadziły znajdowały się poza granicami wyobraźni projektantów elektrowni i jej nadzoru" /z notatek prof. Walerija Legasowa - członka rządowej komisji po awarii w Czarnobylu/.
A potem...

"Z ogromnej sali wymieciono śmiecie
I kurz otarło z krzesel - weszli męże
/.../ I ogłosili... cóż? że są w komplecie".

Andronik N. Petrosjan - przewodniczący Komitetu d/s Pokojowego Wykorzystania Energii Jądrowej - stwierdził: "Wypadek wydarzył się w następstwie serii popełnionych przez pracowników poważnych naruszeń zasad obsługi reaktora".

A u nas?

Raport Komisji Rządowej /strona 112/ stwierdzał: "Scentralizowany system bieżącej informacji dla społeczeństwa i dla zagranicy /władza miała inne informacje - przyp. aut./ zapotrzebował odruchem panikarskim, jak również przeciwnie działał dezinformacji prowadzonej przez polskojęzyczne rozgłośnie zachodnie".

Mówi się także o dokładnym myciu warzyw, podawaniu mleka w proszku, które błyskawicznie znika z półek i zaczyna być reglamentowane, o zbiórce śpiworów dla bezdomnych w Nowym Jorku, a poza tym czułe słówka komunikatów mówią, że nic się nie stało - spokojnie, to tylko awaria. Tak więc cała profilaktyka ogranicza się do podawania płynu Lugola. Pytanie czy nie za późno pozostaje bez odpowiedzi. Zapomniano o dość istotnej sprawie, że Białostocczyzna jest bodajże jednym z trzech regionów, gdzie występowanie chorób tarczycy jest znacznie częstsze niż w innych i znacznie przewyższa średnią krajową. Fachowcy określają to jako teren endemiczny jeśli chodzi o choroby tarczycy. Częstość występowania tych schorzeń, jak twierdzą specjaliści, spowodowana jest niedoborem jodu. I teraz proszę sobie wyobrazić, że przy stałych niedoborach jodu, pojawia się nagle duża ilość jodu radioaktywnego. Wszystkie nasze tarczycy natychmiast go wchłaniają, bowiem gruczoł ten nie odróżnia jodu naturalnego od radioaktywnego. Powszechnie wiadomo, że jod radioaktywny, tzw. jod znakowany, podaje się w minimalnych ilościach diagnostycznie np. przed operacją tarczycy aby oznaczyć guzki gorące, ale wtedy badający informuje, żeby pacjenci przez najbliższe kilka dni nie kontaktowali się z dziećmi. Zwracając uwagę, że są to dawki diagnostyczne, a więc minimalne, podawane pod kontrolą radiologa-specjalisty.

Badania nad wpływem jodu 131 na powstawanie nowotworów tarczycy u zwierząt wykazały, że po dużych dawkach tego izotopu /.../ doprowadzających z reguły do zniszczenia tarczycy, nowotwory tego gruczołu nie

powstają. Najmniej małe dawki ... Zwiększają występowanie gruczoła-
ków i rak w tarczycy i szyszynki. Dawka /wg. Laitny/ 100 microcurie jodu
131 powoduje zdrowemu człowiekowi powoduje ekspozycję tarczycy dochodzą-
cą do 100 rep. /rentgen equivalent physical - 1 rep. określa się jako
dawkę promieniowania, przy której 1 cm² tkanki miękkiej pochłania ener-
gię równą 99 arpom - przyp. aut./; w niedoczynności - do 50 rep., a w nad-
czynności do 500 rep.

Wspomniano również o tym, że Białostoczczyzna to teren rolniczy, że
jest wiadoma i trwają prace w polu. Nikt nie mówi rolnikom o profilakty-
ce. Wiadomo, owszem, o tym, że nie należy zwierząt wypędzać na pastwiska,
że należy je karmić suchą paszą... a ludzie? Jaz, pracowali na polach...

Czyli może być skutki przyjęcia jodu 131 przez nasze organizmy? Na
ten temat mogliby się wypowiedzieć endokrynolodzy... ale do tej pory nie
zaczęli jeszcze...

Prof. Stanisław Kucalski, rektor Akademii Medycznej w Białymstoku, autor
prac: "Typy kliniczne wola w województwie białostockim" oraz "Zagrożenia
wzrostem niedobitków tarczycy na terenie województwa białostockiego"
w wywiadzie udzielonym "Gazecie Wpółczesnej" /26.02.1966. nr 47/ mówi:
"W szpitalach ławach wykonano takich zabiegów /chodzi o operacje tarczycy
- przyp. aut./ 10 procent. I roku ubiegłym aż 240".

Z oficjalnych komunikatów wiadomo, że oprócz jodu 131, którego okres
połowicznego rozpadu wynosi 8,04 dni, w tym czasie rozkłada się na 8,04 do 8,16 dnia, był
także stront 90 i też 137. Sam mechanizm wniknięcia radioaktywnych izo-
topów strontu i cezu jest podobny, z tym że jod gromadzi się w tarczycach
/uwaga - małe tarczycy dzieci zatrzymują całą pochłoniętą jod, tarczycy
dorosłych pochłaniają około 10% jodu, resztę wydalają nerki/, natomiast
stront 90 jest bardzo toksyczny, odizolacja się w kościach a dokładnie w szpi-
ku kostnym. Organizmy nasze wnikają go jako tarczycy wapi. Stront żyje
długo, jego okres połowicznego rozpadu - tj. okres, w którym ilość izoto-
pu zmniejszy się o połowę - wynosi 28 lat. Specjalna jednostka pomiaru
koncentracji tego izotopu w kościach nawi, że nie powinno go być więcej
niż 100, każde dziesięć jednostek więcej oznacza niebezpieczeństwo! Stront
kumulował głównie nadciężne części roślin /w 100%, natomiast cez 137.
W tym okresie połowicznego rozpadu wynosi 30 lat, gromadzi się w masic-
nach roślin. Tak stront 90, jak i cez 137 pochłaniały wraz z pokarmem
zwierzęta, a my, jako że staliśmy się zwierzęta również w tym zakresie pokarmo-
wym, oprócz tego, że sami zostaliśmy narażeni na promieniowanie, radioaktywne sub-
stancje wniknęły w naszemu łańcuch wraz z pokarmami. Zarówno te radio-
aktywne o długim okresie połowicznego rozpadu nadal są w glebie. Szpiczo-
kach przenieszenia się w głąb ziemi wynosi od 5 do 8 cm rocznie. Wiadomo,
że np. korzenie drzew osiąga długość od 40 do 100 cm, stąd proste wnio-
sen - r a i i c k t y w n e n i e r o s l i n s t a j e w h s a n i a z e
b e z p r z e z w i l k a c o r e n e w w e g e s a c j i !
I trzeba jeszcze pamiętać o tym, że po zrywach dokonuje się orki, podczas
której gleba jest odwracana - również z głębokości 20 cm.

Nie wiadomo również o ilości rakotwórczej, diecie wzbogaconej
w sole mineralne, biopierwiastki i witaminy. Laraz po awarii było to
n i e z b e d n e n i s i m i a m, które podnosiły odporność i zmniej-
szyłyby kumulowanie radioaktywnych izotopów w naszych organizmach. Nie
wiadomo o konieczności wzbogacenia podłożysów w rośliny strączkowe, ryż,
chleb razowy, potrawy mączne, otrędy, o pokarmy bogate w magnez i selen

/kukurydza, płatki kukurydziane/, o ograniczeniu do minimum cukru. Nie wspomnę już o braku preparatów typu MISO /pasta sojowa z niekwaszonych ziaren zbóż, jarzyna i morskich wodorostów/. Pasta, której zbawienne działanie było widoczne u ludzi po wybuchu w Hiroszimie, czy też o preparacie KEMP - tabletkach z popiołów i wodorostów morskich, o krajowym DOLOMICIE - wódkę którego Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, wtedy, kiedy był najbardziej potrzebny, rozpuściło gigantyczną aferę, po czym spokojnie stwierdziło, że Dolomit wycofano tylko profilaktycznie, żeby sprawdzić... i że to była pomyłka.

Nie mówiono także o "gorących plamach" średnicy od kilku do kilkudziesięciu kilometrów, gdzie poziom promieniowania przekraczał dziesiątki czy też setki razy poziom skażenia w danym terenie. Były także plamy w okolicach Łomży, Ostrołki, Siedlec, Sejń i Białegostoku.

Nie mówiono także o "gorących kropkach" - hot spots /HS/ - mikroaktywności. HS to bardzo aktywne pyły, stałe cząsteczki paliwa jądrowego o wymiarach mikronowych /1/1000 mm/, które powstały w chwili wybuchu, prawdopodobnie z parowania i kondensacji prętów paliwowych. Były wśród nich także, w których przewagę miały produkty rozszczepienia - ruten 103 i 106, inne zaś "świeciły" izotopami ceru, cyrkonu. W nich też odkryto w początkach maja 1986 roku neptun 239 /który przeszedł w pluton/. Aktywność tych obu rodzajów HS sięgała w październiku 1986 roku dziesiątków tysięcy becquereli, a w maju /wśród zmierzonych/ do pół miliona becquereli. Gęstość ich znajdowania we wrześniu 1986 roku /dane niekompletne/ wynosiła 1 HS na 10-50 m² w Mikołajkach, 1 HS na 50-80 m² w Wąrszawie. Znaleziono też 1 HS na 1 m² w okolicach Siedlec i 2 HS na 1 m² gdzieś pod Łomżą i aż 4-5 HS na 1 m² w okolicach Białegostoku! Dane te są niepełne, podaje je za KOSem, być może prowadzono dokładniejsze badania, ale do publicznej wiadomości ich nie podano.

Nie podano też, do tej pory, jaki procent populacji otrzymał dawki sto lub tysiąckrotnie większe niż średnie. Przecież nie padało u nas równo, jak chce statystyka. Nie podano, jaki procent populacji /rolnicy, budowlani, dzieci na boiskach, świętujący 1 maja/ "złapał" hot spots do płuc - jakie mogą być tego skutki?

Polska Agencja Prasowa w lipcu 1987 roku - w rok po awarii - podała komunikat: "Sytuacja radiologiczna w kraju nie budzi obaw. /.../ Skażenia powietrza i opadu całkowitego są obecnie na poziomie rejestrowanym przed awarią. /.../ Nieco wyższe pozostały skażenia gleby. /.../ Obecnie są to przede wszystkim skażenia promieniotwórczymi izotopami ceszu: cezem 134 i cezem 137". O stronie 90 jakoś zapomniano... i dalej: "Wyższe niż przed awarią są skażenia produktów żywnościowych, jednak wyraźnie ulegają zmniejszeniu". Bardzo wyraźnie muszą ulegać zmniejszeniu, skoro okres połowicznego rozpadu np. ceszu 137 wynosi 30 lat! Dalej w komunikacie czytamy: "Skażenia mleka izotopami ceszu wynoszą obecnie średnio około 20 becquereli/1 l, stanowi to trzykrotny spadek zawartości rejestrowanych zimą i wiosną. Średnie skażenia mięsa wołowego i cielęcego są na poziomie 50 bq/kg, wieprzowego około 2 razy mniej, a baraniny i koniny około 70-100 bq/kg".

Warto przytoczyć tu zalecenia Organizacji Do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa /FAO/, która po awarii w Czarnobylu ustaliła graniczne wartości radiaktywnego zanieczyszczenia środków spożywczych. FAO zaleca nastę-

pujące "wartości progowe" substancji promieniotwórczych, które zżanien tej organizacji powinny być ustalene na mocy międzynarodowego porozumienia:

Jod 131	-	400 bq/kg
cez 134	-	350 bq/kg
cez 137	-	500 bq/kg
stront 90	-	70 bq/kg
pluton 239	-	10 bq/kg

Proszę zwrócić uwagę, nie ma tu ogólnych, dopuszczalnych dawek, o jakich mówiono nam po awarii. Wyraźnie zróżnicowano dawki w zależności od izotopu promieniotwórczego. Interesująca też jest historia ustalania tzw. dawek dopuszczalnych: "Ponieważ nie wiemy, czy skutki napromienienia mogą być zlikwidowane w pełni, musimy odnieść się do artikulacyjnego ustalania dawek dopuszczalnych, które może przyjąć człowiek. Skutkiem, to co uznajemy za poziom dozwolony, czy dopuszczalny, nie jest ustaleniemy na naukowym, lecz decydują administracyjną" /podkr. red./ - stwierdza raport U.S. Naval Radiological Defense Laboratory.

X
X

Od tej ostatniej lekcji minęły dwa lata, stąd to przypomnienie faktów. Fakty te należą już do przeszłości, ale nie skutki... Te jeszcze długo nie będą do niej należeć.

Dwie lekcje, dwa ostrzeżenia, które otrzymała ludzkość. Jakże z tych lekcji wyciągnięto wnioski?

Odpowiedzialni ludzie nauki sugerują, że należy czynić wszystko, aby problem dostaw energii rozwiązać za pomocą mniej desperackich sposobów niż budowa elektrowni jądrowych. Fritjof Capra w wydanej w 1982 roku książce "The turning point" /Punkt zwrotny - wyd. pol. 1987/ pisze: "Kiedy zaczynało się tzw. pokojowe wykorzystywanie energii jądrowej wierzyliśmy, że jest ona tania, czysta i bezpieczna. Z czasem jednak przekonaliśmy się, że to nieprawda. Z uwagi na kosztowne i skomplikowane środki bezpieczeństwa, jakie przemysł nuklearny pod naciskiem opinii publicznej musi stosować, budowa i eksploatacja elektrowni jądrowych są coraz droższe, awarie elektrowni jądrowych narażają setki tysięcy ludzi na utratę zdrowia lub życia, a ponadto nasze środowisko nieustannie zaburzają substancje radioaktywne. Powodowane przez energię jądrową zagrożenia na wielką skalę mają charakter ekologiczny, zarówno w sensie przestrzennym jak i czasowym".

Z tych doświadczeń również władze większości krajów zachodnioweuropjskich wyciągnęły wnioski, nie udzielając nowych zezwoleń na budowę elektrowni jądrowych. Rząd szwedzki opracował zasady przebudowy ogólnokrajowego systemu energetycznego. W myśl tych założeń do roku 2010 zlikwidowane zostaną wszystkie siłownie atomowe /podkr. red./. Pierwsze dwie unieruchomione zostaną już w latach 1995-1996. W Szwecji istnieje 12 tego typu obiektów.

Rząd Austrii, po referendum nakazał demontaż jedynej w tym kraju siłowni jądrowej. Elektrownia ta gotowa do uruchomienia, zbudowana kosztem 15 miliardów szylingów, zgodnie z wolą wyborców, nigdy nie zostanie uruchomiona.

Prawie 4/5 ankietowanych Jugosłowian sprzeciwia się budowie dalszych elektrowni jądrowych na terenie swojego kraju.

A u nas...

Program rozwoju energetyki jądrowej w Polsce do roku 2000 przewiduje: wybudowanie i przekazanie do eksploatacji trzech elektrowni jądrowych o mocy 7860 MW. W tym do 1990 roku planuje się uruchomienie pierwszego bloku elektrowni jądrowej w Żarnowcu. Rozpoczęcie budowy trzech następnych, jak również rozpoczęcie budowy ciepłowni jądrowych w Chłonie. Na temat tych ostatnich wypowiedział się profesor Włodzisław Bojarski - kierownik Zakładu Problemów Energetyki Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN w sposób następujący: "Z niepokojem jednak obserwuję pewną pochopność lansowania w naszym kraju bez żadnych doświadczeń w zakresie energetyki jądrowej, tego rodzaju pionierskich w skali światowej projektów ciepłowniczych. Pierwsze ciepłownie jądrowe małej mocy z reaktorami o obniżonych parametrach i odmiennym chłodzeniu, dopiero powstają na świecie, a u nas rozważa się adoptowanie rozwiązań klasycznej elektrowni jądrowej do wytwarzania ciepła na cele komunalne. Pomysł zasilania całej Warszawy w roku 2000 w ciepło z jednej elektrociepłowni jądrowej z klasycznymi reaktorami jądrowymi o mocy 4x1000 MW należy zapewne do najsłabszych fantazjów w dziedzinie energetyki ścisłej". /podkr. red./. Oby rzeczywiście pozostał tylko pomysł...

Powróćmy zatem do budowy pierwszej w Polsce elektrowni jądrowej. W Żarnowcu, w województwie gdańskim zainstalowane będą cztery bloki z reaktorami wodno-ciśnieniowymi typu WWER 440 oraz turbozespołami produkcji krajowej o mocy 465 MW każdy. Inwestycja ta realizowana jest w ścisłej współpracy ze Związkiem Radzieckim. Harmonogram przewiduje przekazanie do użytku poszczególnych bloków: w 1990 - pierwszego, w latach 1991, 1993 i 1994 - następnych. Jak doniosła prasa: "Realizacja tej inwestycji natrafia na trudności, głównie w zaopatrzeniu w materiały i wyposażeniu przedsiębiorstw w sprzęt specjalistyczny. Trudności te spowodowały opóźnienia w budowie, ale istnieją możliwości na nadrobienie tych opóźnień". /podkr. aut./. Zdaje się, że to nasza polska specjalność - "nadrabianie opóźnień" - o efektach tego typu poczynaliśmy mieliśmy okazję przekonać się dość boleśnie nie raz.

"Opóźnienia na budowie w Żarnowcu sięgały jednego roku. Należy już myśleć o renegocjacji terminów dostaw urządzeń z krajów RWPG, bo po pierwsze - nie ma możliwości ich wykorzystania, pojawiają się kłopoty z magazynowaniem. Okresy gwarancyjne też nie są bez znaczenia" - czytamy w "Głosie Wyróża".

Karol Lipowczan, jeden z dyrektorów Wspólnoty Przedsiębiorstw Hutnictwa i Stali w Katowicach, w wywiadzie udzielonym "Przeglądowi Technicznemu" powiedział: "Otóż często hutnictwo nie dysponując wymaganym wyposażeniem w zakresie urządzeń służących uszlachetnianiu produkcji podejmuje się z dużym wysiłkiem wytwarzania wyrobów specjalnych. Przykładem mogą być stale dla energetyki jądrowej /.../ Skutek jest taki, że część potrzebnych wyrobów hutnictwo wprawdzie wytwarza, lecz jakby nie dość tego było, że nie najlepszej jakości".

niektóre z nich w sposób najdroższy na świecie".

To tylko niektóre problemy, z jakimi boryka się budowa elektrowni w Żarnowcu. Wszystkie te poczynienia przypominają działania w myśli zasadę "po nas choćby potop". I jakby tego było mało, niemal w rocznicę czarnobylskiej katastrofy prasa obwieszcza:

"Dokonano wyboru lokalizacji.

"Warta" drugą elektrownią atomową".

Oświadczone również, że awaria w Czarnobylu **n i e b ę d z i e m i e ś w p k y w u** na program rozwoju energetyki w Polsce, ani nie spowoduje rewizji tego programu. Wcześniej rozpoczęto prasową kampanię oświadczenia i wyjaśnienia, że budowa tego typu obiektów jest konieczna, niezbędna, i że to jedyne panaceum na wszystkie braki, niedobory i niemożliwości naszego życia gospodarczego. Druga elektrownia atomowa wybudowana zostanie we wsi Klempicz, w województwie pilskim, niecałe 40 kilometrów od Poznania.

A przecież zagrożenia jakie niesą ze sobą tego typu obiekty, to nie tylko ewentualne awarie, których wcale nie eliminuje moczenie systemów zabezpieczających. To również cały kompleks spraw związanych z transportem paliwa uranowego, to również problem składowania odpadów radioaktywnych. Szacunkowe dane mówią, że około roku 2000 przenysł energetyczny na świecie zgromadzi około 600 milionów litrów "supermocnych" odpadów radioaktywnych. Tak naprawdę będzie ich znacznie więcej, bowiem szacunek ten nie uwzględnia odpadów powstających w wyniku eksperymentów z bronią jądrową. Do najgroźniejszych produktów ubocznych powstających w elektrowniach jądrowych należy pluton ^{239}Pu . Pluton, którego milionowa część grama, a więc ilość niewidoczna gołym okiem, ma działanie rakotwórcze.

Pół kilograma plutonu równomiernie rozproszanego po kuli ziemskiej jest w stanie spowodować raka płuc u każdego obywatela na naszej planecie. A trzeba wiedzieć, że każdy reaktor przemysłowy "produkuje" rocznie od 200 do 250 kg samego plutonu, którego czas połowicznego rozpadu wynosi 24 400 lat! Oznacza to, że jeżeli do środowiska przedostanie się jeden gram plutonu, to po upływie 500 tys. lat znajdować się będzie jeszcze jedna milionowa grama tego pierwiastka.

Pół miliona lat - to jest sto razy tyle, ile wynosi cała znana nam historia ludzkości.

Pół miliona lat - to okres pięćdziesiąt razy dłuższy od czasu, jaki upłynął od końca epoki lodowcowej do dnia dzisiejszego.

Pół miliona lat - to ponad dziesięć razy dłużej niż całe istnienie gatunku ludzkiego.

Pół miliona lat - to okres, w którym pluton **m u s i** być odizolowany od środowiska.

W Stanach Zjednoczonych obliczono, że jeżeli nawet uda się zapewnić izolację plutonu w 99,99% - co graniczy niemal z cudem - to i tak ta reszta, która wyniknie się - stanie się przyczyną 500 tys. śmiertelnych przypadków raka płuca każdego roku przez 50 lat. /Ralph Nader, John Abbot - The Menace of Atomic Energy, s.80/.

A u nas?

"Rzeczpospolita" w lipcu 1987 roku informowała o obradach stałej Komisji RWPC w Moskwie: "Głównym celem tej współpracy jest na wielką skalę jakościowa przebudowa gospodarki energetycznej /.../, udział energii elektrycznej wytwarzanej w siłowniach jądrowych wzrosnąć do 30-40% łącznej jej produkcji. /.../ Komisja zatwierdziła przepisy dotyczące bezpiecznego przewożenia zużytego paliwa jądrowego w elektrowniach atomowych, kolejowymi i morskimi środkami transportu".

Jakie przepisy mogą nas chronić przed rozlatującymi się torami, przeciążonymi szlakami kolejowymi...? Jakie przepisy mają nas chronić przed wyeksploatowanymi statkami...?

Reaktor wodno-ciężniowy o mocy 1000 MW /takie będą instalowane w elektrowni "Warta"/ opuszcza rocznie około 30 ton zużytego paliwa i kilkanaście ton materiałów konstrukcyjnych. Niemal 29 ton to w dalszym ciągu uran, około 300 kg - pluton uzyskany z reakcji neutronów z izotopem U^{238} , wreszcie 1000 kg - to masa właściwych produktów rozszczepienia. Na budowę elektrowni jądrowej w Żarnowcu do tej pory wydano 35 miliardów złotych, stanowi to zaledwie 7% wydatków, które pochłonęła ta inwestycja. Całość ma kosztować 500 000 000 000 zł. Do tych kosztów należy doliczyć także koszt zakupu paliwa uranowego oraz bezpośrednio i pośrednio wydatki związane z usuwaniem następstw ewentualnej awarii, a także koszty związane ze składowaniem i transportem zużytego paliwa.

Uwiesienie o tzw. ekonomicznych przesłankach, uzasadniających budowę elektrowni jądrowych jest nonsensem. Wręcz barbarzyństwem w obecnej chwili, jest zanegowaniem całego dorobku ludzkości tak w sferze kultury, jak i filozofii i przede wszystkim w sferze etyki. Pytanie: czy energia pozyskiwana w ten sposób jest tańsza, w tym kontekście staje się bezprzedmiotowe. A straszenie nas, że będziemy żyć po ciemku, w nieogrzewanych mieszkaniach, jest czystą demagogią. Polska zużywa co najmniej dwukrotnie więcej paliw, energii, stali, cementu i innych surowców w stosunku do wytworzonego dochodu narodowego w porównaniu do wielu krajów Zachodu. Tak więc Polska nie cierpi na braki ilościowe, lecz na schorzenia typu organizacyjnego i technologicznego. Nasza gospodarka energetyczna oparta na węglu nie uwzględniła podstawowej zasady - oszczędności. W dalszym ciągu wznosi się inwestycje energo- i materiałochłonne.

"Oszczędzanie energii jest najlepszym źródłem dodatkowych zasobów energii i na krótką metę przewyższa możliwość uzyskania energii ze wszystkich paliw konwencjonalnych razem wziętych. Wymownym tego dowodem są dane z lat 1973-1978, wskazujące, że 95% całkowitej dodatkowej podaży energii w Europie pochodziło w tym okresie z jej oszczędniejszego wykorzystania. Tym sposobem miliony zabiegów oszczędzających energię w skali indywidualnej przyczyniły się do uzyskania niemal dwadzieścia razy więcej energii niż w tym czasie dały wszystkie nowe elektrownie europejskie razem wzięte, łącznie z elektrowniami jądrowymi. W tych samych latach Stany Zjednoczone uzyskały 75% dodatkowej podaży energii w wyniku oszczędności energetycznych - to jest 2,5 raza więcej niż ilość energii wyprodukowanej przez wszystkie nowe obiekty energetyczne".
/A.B.Lovins - "Soft Energy Paths"/.

Wszelkie opracowania mówiące o kierunkach rozwoju nauki jednocześnie

stwierdzają, że przyszłość energetyki leży w wykorzystaniu źródeł odnawialnych: energii wiatru, słońca, wody, także błogazów i pływów morskich. Jedynym wyjściem z kryzysu energetycznego - zdaniem A.B.Lovinsa - jest pozyskanie energii z "technologii miękkich". Rozwiązanie problemów energetycznych - to:

- oszczędności w zużyciu energii przez bardziej efektywne jej wykorzystanie;
- rozsowna eksploatacja istniejących nieodnawialnych źródeł energetycznych, które należą traktować jako "most" w okresie przejściowym;
- szybki rozwój "miękkich technologii" wytwarzania energii ze źródeł odnawialnych.

Takie rozwiązanie będzie nie tylko korzystne dla środowiska, ale przywróci także równowagę ekologiczną.

Człowiek w całej swej dotychczasowej historii zawsze funkcjonował na pograniczu dwóch światów: świata natury i świata wartości duchowych. Człowiek IX wieku, jakby zapomniał o lojalności wobec natury, a świat wartości etycznych stał się dla niego tak relatywny, tak zdomowiony przez ideologię, że racje ekonomiczne przesłoniły mu racje istnienia. Dyktat ekonomii gotów w nas uspić nawet instynkt samozachowawczy. Rozpoczęliśmy uprawianie swoistego szaleństwa - gwałcąc naturę, wierzymy, że się przed nami obroni, marząc o jej ujarzmieniu za wszelką cenę, liczymy że przetrwa...

"Iść dalej tą drogą oznacza popaknić Zbrodnię przeciwko życiu, Zbrodnię nieskończenie większą od wszystkich dotychczasowych Zbrodni i przestępstw człowieka. Pomysł, że może przetrwać cywilizacja oparta na takiej zbrodni, jest moralną, duchową i filozoficzną potwornością". /E.F.Schumacher/

X

X

X

"Mało nas, mało nas do pieczenia chleba,
Jeszcze nam, jeszcze nam ciebie tu potrzeba".

Tekst tej dziecięcej piosenki przypomniał mi się, kiedy zaczęłam zastanawiać się, dlaczego w sprawach tak doniosłych i istotnych jak nasze i współmieszkańców zdrowie, a być może i życie następných pokoleń - milczymy! Dlaczego jest nas tak mało?

Z niewiary w skuteczność jakichkolwiek poczynań?

Z niewiedzy, braku rzetelnej informacji?

Czy też z braku wyobraźni?

Chyba nie z obojętności... bo jeśli nie stać nas na żadne działania, możemy już teraz rozpocząć składanie papierowych żurawi... Może będziemy mieli więcej szczęścia niż dziesięcioletnia Sadako Suzaki, której po wybuchu w Hiroszynie ktoś powiedział, że jeżeli chory potrafi złożyć tysiąc papierowych żurawi, zawsze wraca do zdrowia.

Mała Sadako zdażyła złożyć 940...

Może nam los będzie bardziej sprzyjał...

Może zdażymy...

Stanisław Owacki

Na straży systemu

Przystępując do naszkicowania działania i roli, jaką spełnia cenzura w PRL, autor pragnie podkreślić, iż z uwagi na szczytność niniejszego opracowania, świadomie rezygnuje z analizowania wielu aspektów o kapitalnym znaczeniu dla scharakteryzowania całokształtu spraw związanych z realizacją wolności słowa i druku w Polsce. Brakuje tu więc - poza nielicznymi wyjątkami - opisów działania cenzury do roku 1980. Pominęty zostanie również blok problemów związanych z formalno-prawnym statusem cenzury i związana z tym, ciągle otwarta, kwestia legalności samego istnienia i działania organów kontroli publikacji i widowisk. Autor nie stawiał też przed sobą zadania, polegającego na stworzeniu kolejnej "Czarnej księgi cenzury PRL", bowiem w chwili obecnej księga taka powstać nie może, przede wszystkim dlatego, że nie istnieją już takie zapisy, jak ujawnione przez T. Strzyżewskiego. Praca jego i tak ukazuje tylko wierzchołek góry lodowej - brak w niej szeregu zagadnień, które eliminowane są obecnie i eliminowane były dawniej /chodzi tu o historię, PZPR, socjusze itd./. Zadaniem autora szkicu będzie danie - możliwie najpełniejszego - obrazu ó z i a k a n i a cenzury.

STRUKTURA

A oto budowa i relacje pomiędzy poszczególnymi komórkami cenzury.

Mamy tu do czynienia z organem dwustopniowym: Główny Urząd - Okręgowe Urzędy z Oddziałami.

- Na czele Głównego Urzędu stoi prezes /od wielu lat S. Kosicki/.

Na on do pomocy i zastępcę /T. Ratajski/ i dwóch wiceprezesów /J. Pakuła, M. Andrzejewski/. Nadzorują oni pracę Okręgowych Urzędów bądź Zespołów. Prezesowi podlega bezpośrednio: Gabinet Prezesa /dyr. J. Garnys/, Departament Informacji i Nadzoru /dyr. J. Sobel - zarazem rzecznik prasowy Głównego Urzędu/ i Biuro Spraw Obronnych /dyr. płk S. Wojtala/.

Gabinet Prezesa spełnia biurokracyjno-formalną stronę działania Głównego Urzędu - od przygotowywania zarządzeń dla prezesa, po sporządzenie umów o pracę. Departament Informacji i Nadzoru to ośrodek prognostyczno-informacyjny. Zajmuje się analizą ingerencji, formułowaniem wytycznych interpretacyjnych, szkoleniem kadr itp. Biuro Spraw Obronnych nadzoruje całokształt spraw związanych z ochroną tajemnicy państwowej i służbowej, tak wewnątrz Urzędu jak i w publikacjach.

Można jeszcze wspomnieć o Departamencie Budżetowo-Administracyjnym /dyr. J. Budzynek/, który troszczy się o finanse firmy, placę, wyposażenie

w sprzęt itp. Wszystkie te komórki tworzą Główny Urząd. Praktyczna cenzorska praca dokonuje się jednak w podległych Głównemu Urzędowi - Okręgowych Urzędach. Jest ich 15. Istnieją w dawnych województwach /poza Koszalinem i Zieloną Górą/ i są, za wyjątkiem Okręgowego Urzędu w Warszawie, organami bezwydziałowymi. Okręgi mają w większych miastach swoje filie, czyli Oddziały /jest ich 36/. Wspomniany Okręgowy Urząd w Warszawie odznacza się specyficzną, nie spotykaną w innych Okręgach budową. Dzieli się on mianowicie na zespoły. Tych zespołów jest 4, a wyodrębnionym je według kryterium przedmiotowego. I tak mamy: Zespół Prasy, Zespół Widowsk i RTV, Zespół Publikacji Nieperiodycznych /książki/ i Wydział Kontroli Druków Akcydensowych; temu ostatniemu podlegają Oddziały warszawskiego Urzędu Okręgowego.

DZIAŁANIE

Punktem wyjścia może być stwierdzenie, że Urząd Kontroli jest ORGANEM PAŃSTWA w systemie organów kontroli, a zatem - jak sformułował marksistowski sekretarz państwa i prawa - jest instytucją realizującą cele i zadania państwa. Innymi słowy, cenzura czyni tylko to, co państwo uzna za stosowne, by czyniła.

Formalnie działa ona na podstawie ustawy o cenzurze z 31 lipca 1981 roku. Również formalnie podporządkowana jest Radzie Państwa, która jest autorem Regulaminu Sprawowania Kontroli - czyli swego rodzaju technicznej instrukcji, określającej procedurę działania cenzury, jak też określa sposób postępowania wydawców, teatrów i innych przed organami kontroli. Do 1981 r. cenzura istniała i działała na podstawie dekretu o utworzeniu GUKPPIW z 1946 r. Akt ten sytuował cenzurę jako organ podległy premierowi i przed nim odpowiedzialny. Zarówno w dekreście, jak i w późniejszych aktach wykonawczych brak było jakichkolwiek postanowień dotyczących społecznej kontroli nad cenzurą; nie istniały też żadne formy zaskarżenia sądowego jej decyzji. Cenzura mogła więc "ciąć" wszystko to, co uznała za stosowne, a raczej wszystko to, co jej dysponent polityczny /aparatus partyjno-rządowy/ za takowe uznał. Pojawiają się więc osławione zapisy, nakazujące dokonywanie stosownych ingerencji. Paradoksalnie nasilają się one w latach siedemdziesiątych /gdy wszystko rosło i żyło się dostatniej/. Paradoks ten znika, gdy zdamy sobie sprawę, że cenzura potrzebna jest słabej władzy. Władza wtedy czynnie ingeruje w wolność słowa, gdy obawia się, że słowa te zagrażałyby porządkowi publicznemu w danym państwie /stad brak cenzury prewencyjnej w krajach zachodnich - zdecydowana większość społeczeństwa nie widzi potrzeby zmiany politycznego status quo/. Jeśli zaś władza jest na tyle silna, by za pomocą pewnych "rodków /terror/ wymóc pożądane zachowania, znaczenie cenzury maleje. Przykładem niech będą lata stalinowskie, gdy żaden redaktor czy wydawca nie dążył do publikowania jakichś nonkonformistycznych idei. Represje słabną - rośnie rola cenzury.

Sierpień '80 zadowolował m.in. postulatami uregulowania działania cenzury, jej ograniczenia i poddania sądowej kontroli decyzji wydawanych przez nią. Postulaty te zrealizowano, aczkolwiek nie do końca i nie bez pewnych kompromisów. Szeregowi pracownicy cenzury powitali ustawę z 1981 r. z zadowoleniem, bowiem ułatwiła im ona codzienną pracę; nie

trzeba już było pamiętać, że np. nazwisko Michnik trzeba "ciąć". Zapisów ustawa nie przewidywała /o ich istnieniu w dalszej części pracy/. Zostało tylko 10; później 9 "przykazań", które należy respektować.

CO I JAK SIĘ "TNIE"?

Najwięcej ingerencji dokonuje się w PRL z uwagi na cztery punkty art. 2 Ustawy, a mianowicie punkty 2, 3, 5, 6. Punkty 2, 3, 6 dotyczą głównie spraw politycznych, zaś punkt 5 - spraw związanych z wojskowością i gospodarką. Proponuję rozpocząć analizę ingerencji od tego ostatniego punktu. Zabrania on rozpowszechniania wiadomości stanowiących tajemnicę państwa, wojskową i gospodarczą, a także informacji zagrażających obronności. Ustawa o tajemnicy państwowej ustala, iż zarówno naczelne, jak i centralne /a więc również MON/ oraz wojewódzkie organy państwa winny określić co w PRL jest taką tajemnicą. Wykazy takich informacji opracowano i określają one szczegółowo, co może, a co nie może być rozpowszechniane. Iloh zbiór znajduje się, rzecz jasna, w cenzurze. Zbiór, a raczej zbiory. Istnieją bowiem trzy podstawowe wykazy. Dwa dotyczą wojska, trzeci obejmuje inne informacje. Prohibity wojskowe to: katalog sprzętu wojskowego wraz z informacjami, jakie dane taktyczno-techniczne mogą być na ich temat ujawnione. Dla przeciętnego czytelnika /również szczególnie tym tematem zainteresowanego czytelnika Zachodniego/ część ta jest mało ciekawa, gdyż katalog zawiera tylko przestarzałe typy broni, o nowych zaś milczy, co jest równoznaczne z zakazem publikowania jakichkolwiek informacji na ich temat.

Druga instrukcja dotyczy struktury i funkcjonowania LWP. Można w niej wyróżnić dwie kategorie zagadnień: pierwsza dotyczy militarnych aspektów działania /dyslokacja jednostek, dane dotyczące związków taktycznych, oddziałów, nazwisk osób funkcyjnych, lokalizacji lotnisk i polygonów, podziału budżetu wewnątrz LWP, sposobów działania kontrwywiadu/, przy czym konstrukcja tej instrukcji jest pozytywna - tzn. określa się, co jest jawne - tym samym wszelkie informacje wykraczające poza ów spis należy eliminować. Druga kategoria, to sprawy dotyczące oblicza społeczno-politycznego LWP. Zabrania się zatem publikowania tych informacji, które wg. MON mogłyby wywołać nieprzychylny odzew społeczny wobec wojska. Żołnierze nie piją, nie dezertują, nie chorują, nastroje polityczne są wzorowe zaś sprzęt jest nieszkodny. Jednym słowem - w myśl wytycznych - LWP to "fajna" armia nowego typu, zaangażowana i czujna.

Pozostając przy wojskowej części punktu 5, należy dodać, iż nie wszystkie ingerencje wynikają ze stosowania księgi zapisów wojskowych. Część z nich ma swój źródło w samym tym punkcie. Dotyczy to wszelkich antywojskowych opinii /oczywiście, tylko w odniesieniu do sił zbrojnych KRL-ów/. Będą to opinie lub informacje o ujemnych skutkach służby wojskowej, o agresywnym charakterze wojsk państw socjalistycznych, będzie to również nawoływanie do odmowy służby wojskowej i podważanie potrzeby samego istnienia sił zbrojnych. W związku z tym nie przeczytamy w prasie bezstronnie podanego programu Ruchu Wolność i Pokój, ani też nie usłyszymy ze sceny niektórych piosenek polskich zespołów młodzieżowych.

Oprócz prohibitów wojskowych istnieje też wykaz niejawnych zagadnień z innych dziedzin, takich jak: gospodarka, handel zagraniczny, sprawy wewnętrzne itp. Każde ministerstwo sporządziło wykaz informacji, które uważa za poufne czy wręcz tajne. Objęte ochroną są więc niektóre informacje o obiektach mogących mieć znaczenia w czasie wojny - od informacji o komorach minowych w obiektach hydrotechnicznych, po szczegółowe rysunki dłuższych mostów kolejowych /ponad 50 m/. Inne traktowane jako niejawne dane, to np. niektóre zagadnienia dotyczące polityki zagranicznej /zabezpieczenie ambasad/, wewnętrznej /wynagrodzenia w milicji/, handlowej /sprzedaż broni/, skarbowej /zabezpieczenie sejfów bankowych/ itp. Powyższe przykłady nie wyczerpują, rzecz jasna, całości, gdyż kompletny wykaz prohibitów "cywilnych" liczy grubsze ponad 100 stron, a jego skopiowanie kilkakrotnie zwiększyłoby objętość niniejszego szkicu, co nie wydaje się być rzeczą konieczną dla właściwego ukazania polityki cenzuralnej państwa.

Omawiany punkt 5 powoduje ok. 25% wszystkich wkroczeń cenzury. Ta stosunkowo duża liczba jest wynikiem słabego rozróżniania piszących, jak wiele informacji, głównie o lokalizacji jednostek wojskowych, jest niejawnych.

Reasumując, należy przyznać, że ochrona spraw gospodarczo-wojskowych wydaje się być dość zrozumiała i po części akceptowalna. Zresztą nawet w porozumieniach gdańskich ta funkcja cenzury została szczególnie mocno zaakcentowana. Aczkolwiek zakres niektórych przepisów wydaje się być zbyt szeroki, to jednak wypada stwierdzić, że ograniczenia wolności słowa w tym przypadku można jakoś usprawiedliwić. To, co inne, niekomunistyczne kraje chronią poprzez ściślejsze zachowanie tajemnicy służbowej, w PRL chronione jest też przez przewancyjną cenzurę. Żadnemu państwu nie byłoby na rękę obwieszczać wszem i wobec, jak najlepiej wysadzić ważną tamę albo most, lub też publikować szczegółowe dane nowych technologii wykorzystywanych w przemyśle zbrojeniowym. Oczywiście, naszym zdaniem, należałoby oddzielić to, co ważne jest dla interesów państwa na arenie międzynarodowej od niektórych spraw odnoszących się do sytuacji tylko i wyłącznie wewnątrz kraju: nie publikować danych o sztykach dyplomatycznych, ale za to ujawnić, ile średnio zarabia porucznik Służby Bezpieczeństwa.

SPRAWY "POLITYCZNE"

Ta sprawa jest daleko bardziej skomplikowana. Po pierwsze, brak tu szczegółowych wytycznych, tak jak ma to miejsce w przypadku gałęzi militarno-gospodarczej. Są przepisy prawne - dosyć ogólnie sformułowane - że nie można godzić, lżyć, wyszydzać itp. Owa nieostrość jest raczej na rękę cenzurze, gdyż pozwala różnorodnie - w zależności od sytuacji - podchodzić do kontrolowanych tekstów. Istnieją, co prawda, ogólne wytyczne, dokonane przez prawników, co to znaczy np. "wyszydzać konstytucyjny ustroj PRL", lecz są one właśnie o g ó l n e.

Zanim przejdziemy do bardziej szczegółowych rozważań, kilka szerszych uwag o kardynalnym znaczenia dla właściwego naświetlenia roli cenzury w PRL.

Cenzor dokonuje ingerencji. Skąd on wie, że coś trzeba "wyciąć"? Lub skąd wie, że można puścić? Teoretycznie rzecz biorąc, można odpowiedzieć, że opiera się na określonych przepisach ustawowych. Owszem, mają one znaczenia, ale to nie wszystko. Już bowiem analizując ingerencje sprzed lat, powiedzmy czterech, i te obecne, dochodzimy do wniosku, że to, co wtedy nie przeszło, dzisiaj jest niejednokrotnie zwalniane. Jeśli np. w roku 1983 dokonano 4829 wkroczeń, to rok później było ich już tylko 3836, zaś rok 1986 zamknął się ogólną liczbą 2522 ingerencji /w roku 1987 dokonano 2226 ingerencji/. A więc na przestrzeni czterech lat liczba ingerencji zmalała o ponad dwa tysiące. Czyżby była to kwestia autocenzury piszących? Nie sądzę - po prostu mniej jest tematów stanowiących tabu.

Jak podkreślono na wstępie, cenzura jest organem państwa: wykonuje więc zadania zlecone przez państwo, a ściślej przez decydenta politycznego tego państwa - czyli przez PZPR. To PZPR jest ostateczną instancją, określającą zakres wolności słowa w Polsce. Jeśli władzy /PZPR/ potrzebne jest odkręcenie kranu z informacją, kran taki zostaje odkręcony. I odwrotnie, jeśli władza chce zakręcić, to - przy pomocy cenzury - zakręca. Powiemy, że malejąca liczba ingerencji oznacza, iż władza liberalizuje sferę wolności słowa i druku. Drugorzędną kwestią są w tym momencie motywy i cele takiego postępowania /a więc, czy jest to wynikiem presji społecznej, czy też władza liberalizuje "sama z siebie"/.

Oczywiście, powyższy wywód można pojąć o demagogię i dowodzić, że cenzura działa tylko i wyłącznie w oparciu o ustawy sejmowe, uchwały Rady Państwa itp. Można tak twierdzić, lecz fakty temu przeczą. Istnieje bowiem stały kontakt odpowiednich wydziałów KC /propaganda, ideologia, prasa/ z szefami cenzury. Partia więc określa, które tematy należy ograniczyć, które zaś propagować. Płyną więc z KC na pobliską ulicę Mysią odpowiednie dyrektywy. Dyrektywy owe, przy współudziale Departamentu Informacji i Nadzoru, przeistaczają się w odpowiednie zalecenia, a te rozsyłane są do placówek w terenie /najczęściej teleksem/. Zalecenia te bardzo rzadko poświęcone są zakazowi publikowania konkretnej informacji; ich przedmiot bywa raczej ogólny - np. nakazuje się nie dopuszczać do publikowania artykułów na temat rzeczywistych rozmiarów pauperyzacji społecznej w wyniku podwyżek cen.

Na marginesie warto zauważyć, iż - rzecz jasna - prasa partyjna z oczywistych /nazwijmy je autocenzuralnymi/ powodów takich informacji publikować nie będzie. Prasa niepartyjna, a katolicka w szczególności, artykuły takie zgłosi. Cóż stanie się w takim wypadku? Redaktorowi niezależnego periodyku niepartyjnego wytknączy się "niestosowność" takiego kroku. Pismu katolickiemu zaś odpowie się zdejmując artykuł na podstawie Art. 2, pkt 6 Ustawy /tak np. postąpiło z jednym z artykułów Skalskiego w "Tygodniku Powszechnym"/. Wspomniane przedpodwyżkowe zalecenie nakazywało niedopuszczanie do druku artykułów nadgorliwie chwalejących podwyżki bądź poruszających inne drażliwe społecznie kwestie /m.in. wstrzymano w "Polityce" - 7 II - publikację poświęconą stołecznemu szpitalnictwu/. Ujawnia się nam w tym momencie propagandowa funkcja cenzury: władza, posługując się nią, tonuje lub wzmacnia pewne opinie społeczne /będzie o tym mowa w dalszej części pracy/.

Oczywiście, decyzja zakazu publikacji, mająca swe faktyczne źródło w zaleceniu /formalnie w odpowiednim punkcie art. 2 Ustawy/ może być zaskarżona do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Lecz skarga miałaby sens tylko wtedy, gdyby w PRL istniało faktycznie niezależne od władzy sądownictwo.

Podobnie jak kształt prasy, tak i inne środki masowego komunikowania się zależne są w ostatecznej instancji od Komitetu Centralnego PZPR. Zanim "Matka Królów" Zaerskiego czy "Nowy Świat i okolice" Konwickiego ujrzały światło dzienne, były one przedmiotem aprobaty dokonanej przez odpowiedni wydział KC. I tu, podobnie jak w przypadku prasy, decyzja negatywna zostałaby podtrzymana przez NSA.

Nie pragniemy sugerować, że partia wyręcza cenzurę. Decyzja "puścić - nie puścić" nie zawsze konkretnie zapada w Komitecie Centralnym. Rola KC polega raczej na wytyczeniu cenzurze kierunków działania. Ta zaś, posługując się odpowiednimi przepisami prawnymi, dokonuje ingerencji.

W bloku spraw politycznych zastosowanie mają najczęściej przepisy punktu 2, 3 i 6. Na podstawie pkt. 2 /Art. 2 Ustawy/ eliminuje się informację o tym, że ustrój jest totalitarny i niereformowalny, władza narzucona jest z zewnątrz, a jej troską są tylko własne stanowiska, że w PRL brak demokracji, że władze tępią inicjatywy społeczne, że rozpływają naród itd. Ingerencje więc czekają te felietony Kisielea, gdzie autor opisuje, jakim idiotycznym systemem jest komunizm, lub też artykuły Skalskiego, gdzie czarno na białym widać, jakimż to reformy chce rzeczywistość - by ograniczyć się tylko do "Tygodnika Powszechnego". W parze z punktem 2 idzie zwykle punkt 6. Mówi on o eliminowaniu treści stanowiących przestępstwo bądź treści pochwalających i propagujących je. Polski kodeks karny zabrania m.in. tego samego, czego zabrania ustawa o cenzurze. Każda ingerencja, dokonana na podstawie Art. 2, pkt. 1, 2 itd. może być podparta punktem 6 w związku z określonym artykułami kodeksu /np. Art. 270 § 1 Kodeksu Karnego: "Kto publicznie łży, wyszydzia Naród Polski, PRL, jej ustrój lub naczelne organy podlega..." itd./.

Szczególnie często wykorzystuje się Art. 278 § 1 KK /"Kto bierze udział w związku, którego istnienie lub ustrój albo cel ma pozostać tajemnicą wobec organów państwowych, albo który rozwiązano lub któremu odmówiono zalegalizowania podlega..." itd./.

Przepis ten wykorzystuje się przy próbach opisywania, pozytywnego bądź bezstronnego, działania różnych opozycyjnych ugrupowań. Inne artykuły KK wykorzystuje się do ingerowania w pozytywne /bezstronne/ recenzje prasy i książek z drugiego obiegu. W obowiązującej cenzurze wykładni znaczenia pkt. 6 Ustawy przyjęto zasadę, że każdy fakt pozytywnego /bezstronnego/ ukazywania działań opozycyjnych stanowi propagowanie działań podejmowanych przez opozycję. A ponieważ wspomniane "branie udziału" to przestępstwo, ergo "pochwała działania" /Art. 280 § 1 KK/ również jest zakazane.

PIERESTROJKA A CENZURA

Spora część ingerencji dotyczy polskiej polityki zagranicznej i polityki krajów sojusznicznych z ZSRR na czele. KDI-e formalnie deklarują pokojowe współistnienie i takż ich obraz musi istnieć w polskich środkach masowego przekazu. Wycina się zatem wszelkie dane o ich agresywnym

polityce zagranicznej /działania szpiegowskie, handel bronią, popieranie terroryzmu itp./. Punkt 3 Art. 2 Ustawy - bo on to reguluje tę materię - wykorzystuje się do wycinania wszelkich innych, politycznie dla KDL-ów niekorzystnych informacji. Tu też, a może nawet szczególnie tu, uwidoczniła się płynne rozumienie zapisów ustawowych. Można się o tym przekonać wertując polską prasę z epoki Breżniewa i z epoki Gorbaczowa. Ustawa o cenzurze przez ten czas nie uległa zmianie, a rozróżnienie między ówczesnymi doniesieniami z ZSRR a obecnymi nie wymaga dowodzenia. Ale i tu istnieją pewne prawidłwa i ograniczenia. Polska nie może być bardziej "papierka od papieża" - cenzura zwolni tylko to, co jest akceptowane w ZSRR. A że cała tzw. pierestrojka to zabieg raczej kosmetyczny, więc i sprawy zasadnicze są nie naruszane. ZSRR, a generalnie cały międzynarodowy komunizm, posiada pewne swoiste imponderabilia, związane z jego własnym image, za co jakiegokolwiek zamachy na ów image są i muszą być tępiące. Tzw. "białe plamy" są tajemniczą poliszynela, lecz - jak wszystko na to wskazuje - nie ulegną one nigdy wypełnieniu. Szczególnie ostro chroni się te kwestie, które wskazują, że to sam system wie dzie do zła, a nie cechy charakteru ludzi w nim rządzących. Wyraża się to w respektowaniu zasad, mówiących, że komunizm nie jest ahumanistyczny, nie był agresorem w II wojnie światowej, nie wybijał internowanych i jeńców, nie dąży do opanowania świata, a już o wyzyskiwaniu innych narodów przez Hegemona mowy być nie może.

Eliminuje się też informacje o antysowieckim nastawieniu skomunizowanych ludów - od informacji o proreligijnych manifestacjach, po polskie dowcipy w rodzaju "bo w tym narodzie coś takiego siedzi, że tego sąsiada to by nawet w złote renki oprawił, byleby wisiał". Nie budzi też zdziwienia fakt, że z majowej /1987 rok/ "Polityki" usunięto tabelę przedstawiającą wszystkie znane przypadki katastrof sowieckich KŁ-ów 62 /po katastrofie w Lasach Kabackich/. Istnieje również zasada eliminowania w nekrologach i zwiadowieniach o mszach w intencji zmarłych, informacji wskazujących, że zmarły poddawany był represjom, zginął z rąk NKWD lub przy wyrębie lasu na Syberii. Ciekawą sprawą jest tu fakt niezaznaczenia ingerencji w tych nekrologach. Ingerowanie z powodu pkt. 3 rodzi nieraz dość zabawne sytuacje. W którymś z jesiennych /1987 r./ numerów "Życia Literackiego" redaktor naczelny tego pisma, Władysław Machejek, usiłował zrelacjonować swój pobyt w latach sześćdziesiątych w okolicach Katyńa. Opisywał on rozmowy przy kieliszku prowadzone z tamtejszymi oficerami Armii Czerwonej. Z tekstu wynikało jednoznacznie, kto był winien śmierci oficerów polskich. Oczywiście, cenzura wycięła odpowiednie fragmenty, tak że pozostały tylko opisy libacji /"Życie Literackie" nie zaznacza ingerencji/, a Machejka ktoś niezorientowany z "Polityki" wziął na język i wymyślił machejkowski sposób wywabiania plam. Machejek, rzecz jasna, nie replikował, bo... znów mógłby z tego powstać tylko opis picia.

Kończąc rozważania nad ingerencjami tego rodzaju, można pokusić się o przedstawienie najogólniejszej zasady rządzącej w kreowaniu opinii o ZSRR i innych KDL-ach, przy czym zasadę ową można prawie w całości rozciągnąć i na inną kategorię spraw. Generalnie idzie tu o zasadę: system jest dobry, tylko ludzie go wypaczają. Egzemplifikacją niech bę-

dzie zdanie, które cenzura może kiedyś puścić i zdanie, którego nie puści nigdy. Zdanie pierwsze brzmięć mogłoby tak: "Ślepacze Berii i Stalina wymordowali internowanych z Ostaszkowa". Zdanie drugie: "Komunizm to taki system, którego zasadą jest przymus i fizyczne unicestwienie niewinnych, co znalazło swój wyraz w wymordowaniu internowanych z Ostaszkowa".

Wyrażając to jeszcze inaczej - "umarła ideologia jest chroniona bardziej, niż jej nie żyjący wykonawcy".

W tych wszystkich rozważaniach nad ingerencjami świadomie pominięto wszelkie inne, zapisane w ustawie, przyczyny ingerencji. Uczyniono tak, gdyż wszystkie pozostałe punkty art. 2 Ustawy są wykorzystywane jako podstawa ingerencji bardzo rzadko. Z grupy tych punktów wykorzystywany jest najczęściej pkt. 10, na podstawie którego usuwa się pornografię, okrucieństwo itp. Od czasu do czasu cenzura wycina rażące naruszenia uczuć religijnych /pkt. 8/, co ma miejsce w niektórych książkach lub tekstach rodzimych zespołów punk-rockowych.

Zbliżając się do końca tego szkicu nie od rzeczy będzie poświęcić kilka słów samemu cenzorom.

Szeregowy cenzor jest z zasady dobrze i szybko informowany o tym, co, gdzie i kiedy skonfiskowano. Mechanizm owej wiedzy jest następujący: każdy cenzor, dokonując ingerencji, obowiązany jest niezwłocznie przesłać inkryminowany tekst, wraz z uzasadnieniem faktycznym i prawnym ingerencji, do Departamentu Informacji i Nadzoru w Głównym Urzędzie. Tam m.in. komasuje się te teksty i rozsyła do Okręgów i Zespołów. Owe informacje mają nie tylko wartość samą w sobie, lecz i spełniają funkcje instruktażowe - pokazują, co i jak należy oiać.

Urząd cenzorski nie cierpi na nadmiar pracowników. Z uprawnieniami cenzorskimi jest ich mniej niż 300, co wydaje się być małą liczbą z uwagi na ilość kontrolowanych tekstów. Cenzorzy są efektywni, prawie wszyscy z wyższym - często uniwersyteckim - wykształceniem; dominują humaniści - prawnicy, filolodzy, socjologowie, historycy. Bardzo mały ich procent stanowią "ideowcy", czyli tacy, którzy tępią wszelkie przejawy hereetyckiej myśli w imię własnych poglądów. Większość ma doskonałe rozeznanie w historii, polityce, więc zdają sobie sprawę, że to, co kreślą, najczęściej jest prawdą obiektywną /o ile można użyć tu takiego terminu/.

On dyszanans, jak też niezbyt wysokie płace i, mimo wszystko, trochę nudna praca, są przyczyną dosyć dużej fluktuacji kadr. Jeśli już wspomnieliśmy o pieniądzech, to średnia płaca w cenzurze kształtuje się na poziomie "średniej krajowej". Budżet cenzury to ponad 350 mln zł, co jest sumą niewspółmiernie małą w stosunku do politycznego zysku, jaki władza ma z tej firmy. Zwraca też uwagę dosyć duże upartyjnienie wśród pracowników. Tylko /a może aż?/ mniej więcej co trzeci cenzor jest bezpartyjny.

FUNKCJE

Funkcją cenzury jest - najogólniej rzecz biorąc - ochrona systemu. Wyrażać się to będzie dwuaspektowo. Aspekt pierwszy, najoczywistszy, to blokowanie tych informacji, które szkodzą systemowi /tu uprawomocnia się neoliberalna konstatacja: demokracja = informacja/. Drugi, to

działania propagandowe na rzecz władzy. Przykładem takiej współpropagandy niech będą trzy ingerencje dokonane w trzech różnych numerach "Tygodnika Powszechnego". Wyingerowane informacje po pewnym czasie /w pierwszym przypadku tydzień, w drugim trzy tygodnie, a w trzecim kilka dni/ ukazały się w partyjnej "Polityce" bądź "Trybunie Ludu". Pierwszy tekst, to list oswarty J. Holzera do L. Wałęsy i W. Jaruzelskiego. Druga ingerencja dotyczyła felietonu Kisielea, gdzie obarczył on Gomułkę winę za niewpuszczenie papieża Pawła VI do Polski w 1966 roku. Trzecia, to list polskich intelektualistów do intelektualistów sowieckich w sprawie Katyńa. Po pewnym czasie wszystkie to można było przeczytać we wspomnianej prasie partyjnej. Wartości propagandowe takiej selekcji są zrozumiałe. Czyż innym jest informacja podana w prasie katolickiej, a czym innym analogiczna informacja - odpowiednio skomentowana - w prasie partyjnej. Zysk władzy polega również na tym, iż staje się ona bardziej wiarygodna, gdy sama sobie wrzaca kamki do ogródka. Gdy wrzucą je opozycja, władza raczej na tym nie zyskuje.

Porostanmy jeszcze chwilę przy blokowaniu informacji. Zdarza się, że redakcja - po konsultacjach z cenzurą - wycofuje jakieś teksty, które cenzurze, mimo "sprzyjającego" KSA, trudno byłoby skanfiskować. Jakież to teksty? Najczęściej są to informacje propagujące życie w zachodnich demokracjach lub teksty kreślące ponurą wizję rzeczywistości w PRL - bez obwiniania o to systemu. Cenzorzy, a raczej dyrektorzy Zespołów /Okręgów/ zdają sobie, oczywiście, sprawę z tego, że takie teksty mogą być szkodliwe dla władzy. Sugerują więc naczelnemu, że może tak ten artykuł by trochę poczekał... Takie nieformalne praktyki biorą się z tego, że "wierzchuszką" cenzury to jednak ważna politycznie funkcja i bez wiadomości /tj. partyjnej/ rekomendacji tkwić tam nie można. A skoro partia zarekomendowała, to byłoby bzdurą /a co najmniej wielką nierozważa/, nie przysłużyć się jej - a i sobie - od czasu do czasu.

Koncząc, wypada jeszcze skupić się na dwóch sprawach. Po pierwsze, należy wreszcie odpowiedzieć na postawione już wcześniej pytanie: skąd cenzor wie, co ciąć, a co puścić? W ocenianiu tekstu cenzor opiera się na:

- a/ przepisach ustawowych wraz z ich wykładnią opracowaną przez Departament Informacji i Nadzoru i współpracujących z nim pracowników;
- b/ bieżących wytycznych;
- c/ wzorach zachępiętych z innych ingerencji;
- d/ w razie niejasności cenzor kontaktuje się z Departamentem Informacji i Nadzoru, a ten - mając na względzie współpracę z KC - podejmuje decyzję.

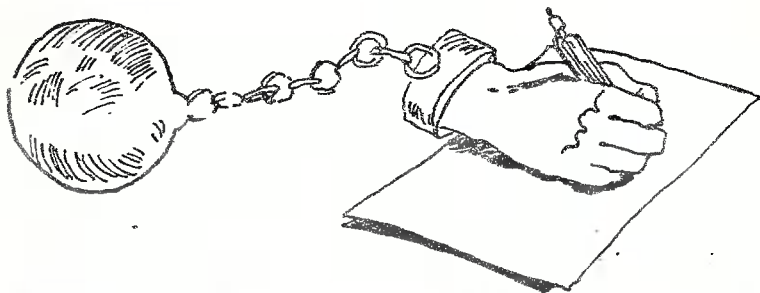
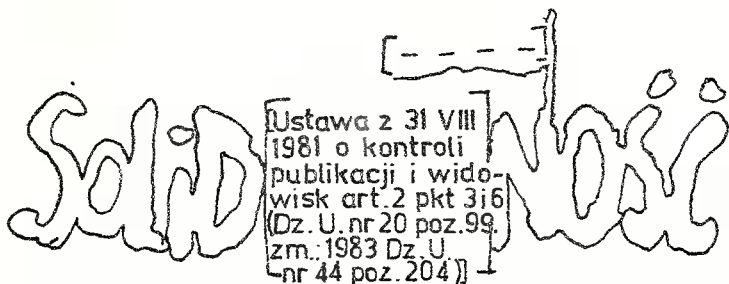
Sprawa druga, to perspektywy działania cenzury. Nie da się ukryć, że praktyczne znaczenie cenzury maleje. Na ów fakt składa się wiele przyczyn:

- 1/ rewolucja techniczna powoduje zwiększony dostęp do środków przekazu informacji. Cenzura zrezygnowała już, z technicznych względów, z kontroli programów komputerowych - choć można w nich zawrzeć wiele antysystemowych treści; od gry "Atak na Moskwę" po literaturę sowietologiczną. Nie kontroluje się /bo i jak?/ telewizji satelitarnej.

Cenzura w bardzo małym stopniu wpływa na kontrolę rozpowszechniania filmów video. Trudno żeby było inaczej, skoro na wspomnianych 300 cenzorów przypada około 300 tys. magnetowidów.

- 2/ Działalność wydawnicza opozycji: tu większe pole do popisu ma Służba Bezpieczeństwa, aczkolwiek można wyrazić przypuszczenie - chociaż brak na nie zdecydowanych dowodów - że władza toleruje drugi obieg; propagandowo zyskuje więcej nie tępiąc tego obiegu, niż traci ze względu na drukowaną tam prasę i książki.
- 3/ Działalność Kościoła, Klubów Inteligencji Katolickiej itp. Teren Kościoła nadal stanowi teren rozpowszechniania niecenzurowanych treści.

Czy więc cenzurze grozi upadek? Naszym zdaniem tak źle nie jest. Dzieje różnych organów w państwach totalitarnych dowodzą, że organy owe nie muszą być ani skuteczne, ani efektywne. Ważne, żeby istniały.



ROZMOWY

Ja nie jestem 'Oni' (1)

Z WOJCIECHEM LAMENTOWICZEM ROZMAWIA JACEK RATAJCZAK

J.L.: W książce "Instytucje polityczne..." wymienił Pan cechy, których posiadanie pozwala nazwać jakąś organizację partią polityczną. Można rozumieć tę definicję jako uniwersalną, właściwą również dla partii w naszym systemie politycznym. Pisze Pan tak: "... formalne, dobrowolne i zdolne do długiej działalności organizacje walki, których program i ideologia służy do zdobycia i utrzymania władzy państwowej dla realizacji określonych celów, głównie klasowych". Jak Pan sądzi, które z tych cech PZPR zachowała w dniu dzisiejszym?

W.L.: Jest niewątpliwie organizacją formalną, niewątpliwie organizacją walki, chociaż bardziej chyba o utrzymanie władzy niż o cele ideologiczne. Można by powiedzieć, że w przypadku PZPR walka o zdobycie, utrzymanie i sprawowanie władzy stała się ideą zartępczą. To jest zmiana bardzo ważna, świadcząca o rozkładzie Założeń i wierzeń ideologicznych wśród członków partii. Dobrowolność organizacyjna PZPR jako cecha definicyjna, jest też wątpliwa. Ze względu na to, że jest to partia bazaltermatyczna, partia, która przez sam sposób swojego działania chce wykluczyć wszystkie alternatywy partyjnego zorganizowania się i programowego myślenia o tym, jakie na przykład miałyby być państwo polskie. W ten sposób ogranicza oczywiście dobrowolność tych, którzy do niej przystępują. Nie znaczy to, że zmusza do przystępowania, ale znaczy, że wytwarza sytuację przymusową, likwiduje możliwość wolnego wyboru. To sytuacja, w której dokonanie wyboru o znaku przeciwnym - o niewystąpieniu bądź wystąpieniu z tej partii - musi pociągać za sobą liczne ograniczenia możliwości realizowania swoich życiowych dążeń.

Kolejną cechą jest "zdolność do długotrwałego działania". Wydaje mi się, że jest zdolna do dość długotrwałego istnienia, natomiast utraciła zdolność do działania: działa aparat i to mało dynamicznie w stosunku do poprzednich okresów funkcjonowania tej partii, działają pewne nieliczne bardzo kręgi aktywu i to takiego jakby mało przekonanego ideowo, a za to bardziej tak z dyscypliny, z poczuciem obowiązku działającego. Natomiast partia jako podmiot zbiorowy obejmując dwa miliony z małym kawałkiem członków jest niezdolna do działania na rzecz własnego programu, nie ma władzy pozytywnej. Posiada natomiast władzę negatywną: władzę powstrzymywania innych przed działaniami, które kierownictwo PZPR uważa za realizowanie ich własnych programów, dążeń, nawet nie wyartykułowanych do końca, intencji chociażby, pewnych postulatów. Nie każdy członek musi mieć rozwinięty program polityczny w głowie, wystarczy, że ma parę idei, którymi chociażby się podzielić z innymi i spróbować wraz z innymi je realizować, choćby w skali małej wspólnoty. Otóż władzę negatywną ma PZPR dostatecznie dużą. Polega ona na sile represji, na kontroli środków propagandowych, również innych

środków kontroli zachowań. Nie ma natomiast władzy pozytywnej, o czym łatwo się przekonać obserwując na przykład losy programu reformy gospodarczej. Jak jest on realizowany, na jakie przeszkody napotyka i co się z nim naprawdę dzieje. Oczywiście, że nawet własnych pozytywnych zapewnień programowych, obywateli, którym przecież nie przeszkadza żadna opozycja, ta władza nie jest zdolna zrealizować.

J.R.: Można tu obserwować ciekawe sprzężenie dwóch zależności: wraz z postępującą koncentracją władzy postępująca degradacja zasobów ideologicznych PZPR.

W.L.: Im bardziej jest rządzącą partią, tym mniej jest partią realizującą ideał społeczny. Dzisiaj jest niemal wyłącznie rządzącą i rządzenie to da się ująć w dwóch aspektach: rządzenie w sensie pozytywnym, czyli osiąganie celów, które się głosi, i rządzenie w sensie negatywnym, to znaczy powstrzymanie działań, które mogłyby utrudnić utrzymanie własnej pozycji. Odtąd to rządzenie ma dzisiaj niemal wyłącznie wymiar negatywny, wymiary pozytywne są bardzo wąskie. Byłoby dobrze, żeby mogły zostać rozbudowane, bo niektóre z tych publicznie głoszonych celów przydałoby się zrealizować - z korzyścią i dla władzy, i dla społeczeństwa. Ale jest tak jak jest - jest wyraźna przewaga władzy negatywnej nad pozytywną i wyraźny rozkład motywacji typu ideowego, przewaga motywacji cyniczno-pragmatycznych, które nie obceują niczego szczególnie dobrego grupom obywateli, którzy w tej partii nie są zorganizowani.

J.R.: Mówi się w tej definicji, że każda partia poprzez sprawowanie władzy realizuje określone interesy, głównie interesy klasowe. Interesy jakiej klasy realizuje PZPR?

W.L.: Myślę, że to jest sprawa dość skomplikowana. Niewątpliwie są to klasowe bądź quasi klasowe interesy tej warstwy, która należy do nomenklatury, ten. klasy wyróżnionej przez swą pozycję w strukturze władzy, a nie w strukturze własności. Pozycja w strukturze władzy w naszych warunkach daje jednocześnie możliwość dysponowania odpowiednimi częściami formalnie niby upaństwowionych środków produkcji, ale mogą one być łatwo zawłaszczane przez tych, którzy po prostu mają władzę. Po drugie, jest cały szereg grup społecznych, które są skłonne - jak wskazują na to badania socjologiczne - utożsamiać się z pewnymi ideałami czy postawami tej partii, jakkolwiek nie mają żadnego dostępu do aparatu władzy. Tutaj jest bardzo ciekawa różnica: na przykład robotnicy wykwalifikowani w ogromnej swojej większości mają krytyczną postawę wobec tego, co robi partia. Robotnicy niewykwalifikowani częściej uważają się za niedle reprezentowanych przez partię. Na przykład robotnicy niewykwalifikowani - nie wiem oczywiście czy w sposób należyty świadomy jest sformułowana taka ocena - są skłonni przypisywać partii tendencje egalitarne, które z kolei uważają za cenne dla siebie. Myślę, że mylą się co do tego. Aparat partyjny nie ma tendencji egalitarnych, natomiast postępuje się czasem tego typu frazologią. W ten sposób wytwarza wrażenie, że jest proegalitarnie zorientowany i to wrażenie zdaje się przenikać do świadomości pewnych grup. Myślę, że są pewne grupy, które gotowe są udzielać partii poparcia nawet wtedy, gdy ona naprawdę nie jest w stanie realizować ich interesów, ale jest w stanie stworzyć wrażenie, że jest lepiej, gdy rządzi ta partia niż gdyby oddała władzę, jakiegokolwiek innej partii czy koalicji sił społecznych.

Podobna zresztą sytuacja, dość ciekawa, występuje w przypadku grup o niższym poziomie wykształcenia. Ludzie o wykształceniu podstawowym będą niższym niż podstawowe częściej postrzegają oficjalne partyjne programy czy obietnice jako szkodliwe i dobre dla siebie niż ludzie z wykształceniem średnim, a już zwłaszcza wyższym. Im wyższy poziom wykształcenia, tym większy odsetek i tym większa intensywność krytycyzmu wobec w ogóle samego faktu sprawowania władzy przez partię oraz efektów sprawowania tej władzy.

J.R.: Ciekawe zresztą jest to zjawisko, o ile dobrze określam, że partie typu komunistycznego w tym i PZPR oceniane są zwykle na podstawie utopii, którą głoszą, natomiast partie z kręgu demokracji zachodnich oceniane są po skutkach swoich działań.

W.L.: No więc właśnie. Na dobrą sprawę, gdyby robić taką dziwną analizę porównawczą to wszystkie partie polityczne powinny być oceniane po efektach, które przynosi ich władza. Ale jednocześnie u ludzi o wyższym poziomie wykształcenia i kwalifikacji zawodowych, ludzi mieszkających w większych miastach niewątpliwie przeważa ocena przez pryzmat efektów. Ludzie ci są w stanie samodzielnie ocenić efekty, natomiast te grupy, które są dzisiaj swoistym zapleczem społecznym partii, to znaczy ludzie siacó wykształceni, o niskich albo żadnych kwalifikacjach zawodowych, rzeszający czasem na wsiach czasem w małych miasteczkach - mają większą trudności w samodzielnej ocenie faktów i efektów, w związku z tym łatwiej ulegają pewnym iluzjom związanym z tym co się oficjalnie głosi. Na wsi jest na ogół tak, że im słabszy ekonomicznie i starszy rolnik, tym większa skłonność - to jest rzecz jasna probabilistyczna zależność a nie bezwzględna - do propartyjnego stanowiska. Albo chłoporebotnicy. Ci mają niewyraźny status, nie bardzo wiadomo, kim są dokładnie we wsi, bo tam nie mają wysokiej pozycji jako marni gospodarze, natomiast wśród robotników też nie mają wysokiej pozycji, ale sam fakt, że opierają się o dwie podstawy ekonomiczne, pewne korzyści bycia jednak w tym przemyśle są dla nich cenne i jeżeli są posłuszni, jawnie się nie narażają strukturze władzy przemysłowo-politycznej, to mniej więcej osiągnają to, o co im chodzi, to znaczy możliwość jakiejś egzystencji przy stosunkowo niedużym wkładzie pracy. Efektywność tej kategorii pracowników jest dość powszechnie oceniana jako bardzo niska. Spośród nich z kolei rekrutuje się stosunkowo najwięcej takich systematycznych - jak to określić - złodziei mienia społecznego. To jest tak zwane przestępstwo ciągłe polegające na wynoszeniu rozmaitych narzędzi, materiałów etc. z państwowych zakładów pracy. Nie jest to kwestia może tylko ich postaw moralnych, ale kwestia pewnych konieczności, którym oni łatwiej ulegają niż inne grupy robotników.

To jest paradoksalne oczywiście, że kategorie społeczne poza samą strukturą nomenklaturową, które są skłonne identyfikować się z oficjalnie głoszonymi hasłami partii, to są grupy najsłabsze w rozmaitych wymiarach: wykształcenia, kwalifikacji, dostępu do oświaty, dostępu do możliwości wyrobienia sobie samodzielnego sadu o stanie spraw publicznych. Na tych grupach bazuje elita rządząca. Co więcej, powołuje się na to, że chce realizować postęp społeczny w oparciu o takie zaplecze społeczne, co jest właściwie niemożliwe. Gdyby się dokonała chociażby ogłoszona swojego czasu rewolucja naukowo-techniczna, to partia w swym obecnym kształcie

stałaby się tak zbędnym anachronizmem, że nawet jej najbardziej gorliwi reprezentanci musieliby to publicznie uznać. To jest coś w rodzaju kołna trojańskiego, na tym polega między innymi pułapka strukturalna, w której znajduje się etatystyczny socjalizm. Jeśli chce się utrzymać taki typ kontroli politycznej, to trzeba zablokować rozwój ludzkich i technicznych sił wytwórczych. Blokując go jednocześnie skazuje się kraj na zacofanie, co dodatkowo podważa status partii. Jeżeli zdecydują się natomiast na rozwój - mówiąc językiem Marksa - ludzką i rzeczową stronę sił wytwórczych, będzie to oznaczać zmniejszenie się pola dla tych wszystkich ingerencji polityczno-biurokratycznych w procesy życia społecznego i gospodarczego.

J.R.: Jak by Pan mógł scharakteryzować istotę zawodu uczonych marksistowskich, którzy wystąpili z PZPR, biorąc pod uwagę doświadczenia swoje i innych?

M.L.: Podstawową sprawą jest nie tyle zawód spowodowany przez sam marksizm jako pewien sposób myślenia, ile spowodowany przez struktury instytucjonalne egzystujące w Europie Wschodniej, struktury o radzieckim rodowodzie. I wszystko jedno, czy one są postrzegane jako obce czy jako własne, ale myślę, że wszyscy ci postpartyjni naukowcy najnowszej generacji dlatego wystąpili z PZPR, gdyż uważają, że te struktury są wyjątkowo nieadekwatne do potrzeb społecznych i hamują rozwój społeczny w całej rozciągłości. Drugi moment. Myślę, że wszyscy ludzie, którzy wystąpili z partii, utracili w pewnym momencie wiarę, że można przyczynić się do reformy tego systemu będąc wewnątrz i płacąc pewną cenę moralną. W tym wypadku wyjątkowo wysoką cenę moralną trzeba by zapłacić: akceptując stan wojenny. I tu dochodzimy do trzeciego momenta: pewni ludzie nie chcieli tej ceny zapłacić, była już zbyt wysoka. Wcześniejże ceny moralne były gotowi zaakceptować gdyż ciągle jeszcze można było mieć nadzieję, że kiedyś nastąpi kompensacja tego nakładu, jakim był ponoszony koszt moralny. Od pewnego czasu stało się jasne, że nie ma nadziei na wyrównanie rachunku. Cena ex ante do zapłacenia strasznie wysoka, perspektywa, że kiedyś będzie miało się szansę zrobić coś pożytecznego po zapłaceniu tej ceny - bardzo niska. To może jest też kwestia odpowiedzialności przed środowiskami społecznymi, w których wielu z tych ludzi działało lub próbowało działać. Tworzy się pewien typ zobowiązania moralnego. Ja na przykład, gdy ogłoszono stan wojenny nie miałem właściwie wątpliwości ani przez sekunde, że muszę wystąpić z partii, dlatego, że gdybym tego nie zrobił, to co by sobie pomyśleli ci wszyscy ludzie, którzy ode mnie publicznie dziesiątki razy uzyskiwali odpowiedź, że z partii należy wystąpić wtedy, kiedy zniknie szansa na jej zmianę. Zaskła i teraz po prostu nie ma wyboru, sprawa się rozstrzygnęła, wybór został dokonany... Co prawda starałem się nie stracić wszelkich nadziei na możliwą zmianę i podtrzymywałem w sobie nawet czasem wbrew zdrowemu rozsądkowi pewne zdążenia, że cokolwiek jeszcze będzie do uratowania, że nie wszystko zostało przegrane, że coś zostanie z tego. Rzeczywiście, są pewne elementy, które wydają się świadczyć, że jest pewna postać tego dziedzictwa, które nie jest jeszcze całkowicie zaprzepaszczone przez działania elity rządzącej, ale dystans między tym poziomem nadziei, a rzeczywistością, w którą

Zanurzono nas 13 grudnia jest ogromny. Uchronić w tej sytuacji świadomość od dysonansu poznawczego jest po prostu niemożliwością, jest to sytuacja na granicy choroby umysłowej. Dla wielu ludzi, którzy w partii pozostali - przypuszczam - musiało to spowodować konieczność albo zupełnego wyciszenia sumienia albo pewnej samoekstrakcji umysłu. Przy zachowaniu sprawnego umysłu i wrażliwego sumienia nie byłoby możliwe podjęcie decyzji o dalszym byciu w PZPR. Jak wiem, wielu z tych ludzi, którzy zgodzili się tak wysoką ceną moralną zapłacić i zaakceptować 13 grudnia jako mniejsze zło, jako wyższą konieczność, obronę racji stanu, obronę przed radziecką interwencją, nadzieję na pewną reformę - jest raczej w złej kondycji psychicznej. Nie tylko w moim środowisku, ale i w środowiskach, które znam spoza kręgu akademickich uczonych. Odnoszę wrażenie, że bardzo wielu z tych ludzi, którzy pozostali w partii - ciężko to przeżywa. I to także jest dla mnie pewnym źródłem nadziei, bo ja ciągle wierzę, że jeśli powstanie przeszerzeń swobodnej artykulacji to w tej przestrzeni znów znajdują się tacy ludzie dzisiaj będący w partii, którzy raz jeszcze spróbują w miarę otwartym głosem powiedzieć, że konieczna jest zmiana i że partia ta albo będzie demokratyczna albo nie ma prawa tutaj być. Wydaje mi się, że nie można z góry wykluczyć, że będą oni próbowali w pewnym sensie skompensować sobie wszystkie szkodzone nadzieje, które stan wojenny zablokował.

J.R.: Czy w takiej sytuacji wróci Pan do PZPR?

W.L.: Nie. Nie sądzę, żeby to było możliwe z punktu widzenia mojej własnej decyzji - ja bym takiej decyzji nie podjął. Po drugie, nawet gdybym ją podjął, to nie mogę sobie wyobrazić takiego optymistycznego rozwoju sytuacji, w której aparaty kontrolujące partię mogłyby dopuścić do powrotu takich ludzi jak ja. To byłoby zbyt niebezpieczne z punktu widzenia stabilności ich własnych pozycji. Oni dobrze wiedzą, że tacy ludzie mogliby jednak bardzo szybko mobilizować poparcie wokół takich koncepcji, które są im wyjątkowo nie na rękę. Nie ma więc najmniejszych szans, że przeszkody przed takimi powrotami byłyby bardzo silne, poza tym przeszkody we mnie są dostatecznie wyraźne. Ja prawdę mówiąc mam dość partyjnego sposobu istnienia, mam tę skłonność dość skutecznie poza sobą. Gdyby była możliwość tworzenia jakichś innych partii, powiedzmy socjaldemokratycznych, też bym się bardzo mocno zastanawiał, czy powinienem zostać jej członkiem. Wydaje mi się raczej, jeśli by taka możliwość powstała, że wolałbym być niezależnym, niezorganizowanym w strukturę sympatykiem. Być na przykład publicystycznie użytecznym dla pewnych pomysłów, ale zachować możliwość niepozwolenia w strukturalnej zależności od pewnych dyscyplin organizacyjnych i pewnych konieczności taktycznych, których prawdę mówiąc mam już serdecznie dość. Nawet dla takiej partii, która programowo byłaby mi najbliższa też nie wiem czy byłbym gotów po tych doświadczeniach, które mam zaakceptować narzucane przez nią ograniczenia. Poczuję się bardzo wolny od momentu, w którym jestem poza partią. Rigdy dotąd nie byłem wewnętrznie tak wolny jak teraz. To jest coś co wyraźnie zyskałem, puła mojej wewnętrznej osobistej wolności stała się niepomierne większa, mimo że na zewnątrz ograniczeń wolności przybyło. Ale nie muszę się lizować z tym, co będą rozmaite komitety i inne ciała myślały, jak będą oceniały i dyskutowały na temat "... działalności i poglądów towarzysza W. Lamentowicza". To już w ogóle nie wchodzi w rachubę, w ogóle nie dotyczy. Ten typ wolności intelektualnej i moralnej, który uzyskałem teraz jest nieporównywalny z tym, który mogłem mieć w latach siedemdziesiątych.

J.R.: Czy nie sądzi Pan, że uczoney powinien mieć oczywiste prawo do takiej wolności, co więcej: osobisty obowiązek zachowania takiej wolności?

W.L.: Niewątpliwie tak. Staralem się nawet, wtedy gdy byłem w PZPR, bronić możliwie największego zakresu swej wolności wyboru. Między innymi te moje wysiłki, żeby nie stać się czymś człowiekiem, żeby nie być przypisanym do czyjegoes dworu naukowego czy rydwanu. Myśle, że niezależność myślenia w dużym stopniu zależy od niezależności co najmniej w dwóch innych wymiarach, to znaczy niezależności od takich struktur organizacyjnych, które mają ambicje zniewalania osobowości, które totalizują osobowość, chcą ją sobie podporządkować w całości, mają całościowe koncepcje na życie społeczne i życie jednostki i jednocześnie oczekują od swoich członków pełnego uznawania tych koncepcji, w sposób naturalny ograniczając swobodę myślenia.

I drugi rodzaj niezależności - niezależność od takich najbardziej elementarnych ograniczeń materialnych. Jeżeli człowiek żyje w skrajnym niedostatku, nieustannej konieczności zdobywania najbardziej elementarnych środków do życia to i jego niezależność intelektualna jest przez to poważnie ograniczona. Krótko mówiąc musi robić wiele rzeczy dla pieniędzy, a między tym robieniem dla pieniędzy, a tym co się robi dla prawdy lub dla tego, co się za prawdę uważa może być częsty konflikt. Nie musi ale może. Te dwie postaci niezależności są bardzo ważne.

J.R.: Sądzę, że marksistowski paradygmat badawczy jest również dlatego nieatrakcyjny dla uczonych - przynajmniej z kręgu wschodnio-i środkowo-europejskiego - ponieważ idzie za nim sankcja ideowa i polityczna.

W.L.: Jako doktryna urzędowa, państwowa marksizm musi oczywiście powodować tego typu skutki ograniczające. Właściwie każdy, kto chce być wyznawcą takiego marksizmu musi zgodzić się z ograniczeniem własnej swobody myślenia, formułowania hipotez, poszukiwania najlepszych metod weryfikacji tych hipotez oraz formułowania wniosków. Natomiast jeżeliby marksizm traktować jako swobodnie wybieraną - jedną z kilku możliwych - opcję metodologiczną, która nie pociąga za sobą zobowiązań do uznania każdej konkretnej tezy napisanej przez takiego czy innego klasyka, wówczas nie powoduje on żadnych ograniczeń. Można być bardzo niezależnym myślicielem, będąc w metodologicznym sensie marksistą, czego dowodzą kolejne generacje marksistów działających w Zachodniej Europie i Stanach Zjednoczonych, których pisarstwo jest interesujące. Znajduje szeroki oddźwięk nie tylko w sferach akademickich, ale i wśród czytelników masowych...

J.R.: Ale takie uprawianie marksizmu jest paradoksalnie niemożliwe właśnie tu.

W.L.: Tu marksizm nie jest pewną swobodnie wybraną filozofią czy swobodnie wybraną metodą badawczą. Tutaj ma być światopoglądem i to światopoglądem takim, w który jest jednocześnie wbudowana racja stanu, rozmaite bieżące polityki i zwroty propagandy rządowej. To po prostu nie jest marksizm w rozumieniu ścisłym, jest to raczej amalgamat rozmaitych treści, które są prezentowane jako marksizm. Jeśli mogę użyć tu zwrotu, który pochodzi z zupełnie innej książki - jest to spolaryzowane światło tej wiedzy, która w marksizmie była zawarta, ale jeśli używa się jej po prostu jako

narzędzia do dominacji nad umysłami, to przestaje to mieć funkcje poznawcze i staje się najwyżej listkiem figowym osłaniającym nagocę struktury władzy. Czasami staje się też narzędziem uprawomocnienia tejże struktury władzy. Ale coraz rzadziej, bo doktryna wtedy tylko może dawać prawo do rządzenia państwem, jeżeli jest dostatecznie duża liczba ludzi, którzy w słuszność tej doktryny wierzą. Jednocześnie jestem przekonany, że takich ludzi jest coraz mniej, zatem i legitymizacyjna funkcja tego wschodnioeuropejskiego marksizmu-leninizmu jest coraz skromniejsza. W tej sytuacji uprawianie jakiegokolwiek refleksji, która odwoływałaby się choćby selektywnie do Marksa, będzie coraz trudniejsze, ponieważ ktoś, kto będzie robił to uczciwie, będzie musiał robić to krytycznie, a konkluzje, do których będzie dochodził, będą również krytyczne. Metoda Marksa jest właściwie najlepiej przystosowana do krytycznego myślenia, a tu krytycznego myślenia się nie dopuszcza. Mamy zatem paradoks: zasadniczy sens metody Marksa jest całkowicie niezgodny z tym, co uważa się za podstawową instytucję systemu, co grupa rządząca chciałaby zachować na wieczność. Stąd te zwroty o Leninie wiecznie żywym czy o wiecznie żywych zasadach marksizmu-leninizmu.

J.R.: Czy nie sądzi Pan, że i norma moralna, której źródłem jest marksistowska teoria moralności, również obciążona jest tą samą słabością, słabością swojej wieloznaczności a jednocześnie relatywizmu politycznego - przez to właśnie, że jej podstawą tak się manipuluje?

W.L.: Moralne przesłanie myśli samego Marksa zostało tylekroć nadużyte, tyle razy w oparciu o to przesłanie robiono rzeczy zgoła amoralne, że dzisiaj jest bardzo trudno powiedzieć, co właściwie jest treścią tzw. etyki marksistowskiej. Czy chodzi tu o wypływającą z tej etyki moralność tych, którzy się do marksizmu przyznają; o rzeczywistą moralność, ich zachowania podlegające ocenie moralnej, czy chodzi o postulaty, które by z tej doktryny można było wyprowadzić jako abstrakcyjne mierniki dobrego postępowania...

J.R.: ...wzorce osobowe...

W.L.: ...na przykład. Na to uskarża się już kolejna generacja pedagogów, którzy próbują w takiej prosystemowej orientacji wychowywać młodzież; uskarża się na brak wzorców osobowych. Nie jest przypadkowe, że po tylu latach praktycznego funkcjonowania państwa odwołującego się do pewnej specjalnej wersji marksizmu, nie można pokazać konkretnych ludzi, których życie byłoby świadectwem właściwego stosowania moralnych wskazań tej doktryny społecznej. Okazuje się, że takich ludzi nie ma, gdyż jeżeli ktoś jest wierny założeniom marksizmu, to po jakimś czasie musi okazać się niewierny instytucjom i wódzom tych instytucji - przez co oczywiście nie może być wzorcem osobowym. Natomiast ktoś, kto jest wierny kolejnym konstelacjom wódców i instytucji, musi się sprzeniewierzyć przesłaniu moralnemu tej doktryny. Ten niszczący mechanizm sprawia, że na dobrą sprawę nie mogą pojawić się takie wzorce osobowe, które byłyby i instytucjonalnie akceptowane, i zgodne z doktryną marksistowską. Jeżeli nadal będzie się utrzymywał taką strukturę instytucjonalną pogłębi się rozkład wartościowych i ogólnie w współczesnym świecie już dzisiaj kulturowo zaakceptowanych składników treściowych marksizmu. Będzie to kolejne

pojmowywania wyroka na marksizm jako pewną filozofię społeczną, która walczyłaby z normalnymi dwulicznymi. Nie musi to być cały naród, może to być tylko partia, jedna szkoła...

J.R.: Znacząca zdolność marksizmu wschodniego?

J.L.: Myślę, że jest to niszcząca zdolność instytucji w stosunku do doktryny jako takiej. Stąd instytucje mają zdolność niszczenia normatywnego sensu wszelkiej doktryny z jaką się stykają - to znaczy używają doktryny czysto instrumentalnie, przez co nie może ona wywołać poczucia zobowiązania. /.../ Każde inne potraktowanie doktryny przez aparat władzy oznaczałoby konieczność dopuszczenia pluralizmu motywacji doktrynalnych, a co za tym idzie - zniszczenie iluzji monolitu światopoglądowo-ideologicznego.

J.R.: Porzucił Pan pewną wspólnotę polityczną, ale nie porzucił Pan określonej wspólnoty naukowej, kierującej się w swej praktyce badawczej paradygmatem marksistowskim.

J.L.: Myślę, że można tak powiedzieć, chociaż oczywiście stopień krytycyzmu, z jakim odnoszę się do pewnych elementów marksizmu, jest wyższy niż kiedyś. Jednak w jakimś stopniu nadal jestem marksistą. Stopień ten jest trudny do ustalenia dla mnie samego, ale nie mógłbym powiedzieć, że od momentu, w którym oddałem legitymację partyjną nagle uważam, że Marks na przykład był idiotą i we wszystkim się mylił. Nie mogę też stwierdzić, że po 13 grudnia odkryłem, iż wszystkie oceny, które wypowiadałem na temat rzeczywistości były fałszywe i że we wszystkim się myliłem. Że teraz to już nie będę się mylił... Staram się zachować dystans do samego siebie, do tego co myślę i co mogę publicznie powiedzieć. Jestem znacznie bardziej ostrożny w formułowaniu stanowczych opinii. Teraz znacznie częściej myślę w kategoriach: prawdopodobne, mniej prawdopodobne, bardziej, mniej pożądane, a nie: absolutnie pożądane, absolutnie prawdopodobne.

J.R.: Kwestia kwantyfikatora?

J.L.: Tak, coraz częściej myślę małymi kwantyfikatorami, w sposób probabilistyczny. Deterministyczne konstrukcje zupełnie mnie nie interesują - w tej kwestii nie jestem marksistą. Wolę mówić o pewnych stopniach prawdopodobieństwa, a nie o koniecznościach.

J.R.: Gdy się czyta teksty postmarksistów, zwraca uwagę to, że pierwszą oznaką porzucenia marksizmu jest waloryzacja kultury jako równie ważnego - obok ekonomii - regulatora procesów społecznych.

J.L.: Myślę, że jest tu pewna ogólniejsza prawidłowość. Mianowicie: marksizm wschodnioeuropejski ma tendencję do przekształcania się w ekonomiczny czy też techniczno-ekonomiczny determinizm, gdzie hierarchia tych regulatorów przebiega według schematu: ekonomiczne, polityczne, kulturowe; przekształca się ona w całkowite, będące takim samym determinizmem przeciwieństwo: kulturowe, polityczne, ekonomiczne. Taka sytuacja musi oczywiście prowadzić do absurdalnych konsekwencji. tzn. takich, że wszystko okazuje się być wynikiem absolutnie swobodnej kreacji ludzkiego umysłu, w której rola przypadku jest olbrzymia, a wszystko inne wydaje się być tylko przedłużeniem wytworów kulturowych. Ja myślę, że takie odwrócenie

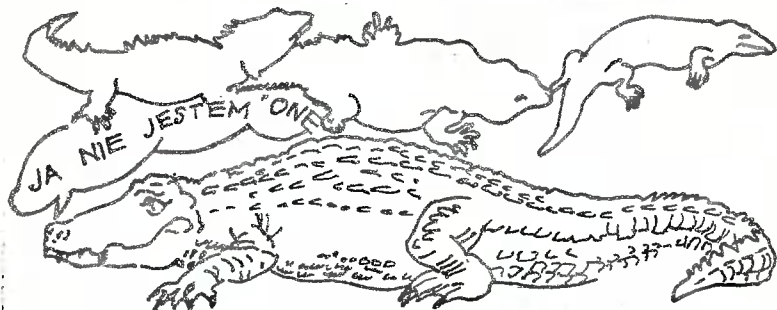
jest po prostu nieuprawnione. Znacznie lepiej jest przyjąć założenie, że w formułowaniu hipotez dotyczących rozmaitego typu zjawisk, nie można przyjąć ani formuły determinizmu ekonomicznego, politycznego czy kulturowego jako uniwersalnego klucza do analizy, ale w zależności od typu problemów należy je rozpatrywać i wyjaśniać w różnych kategoriach.

J.R.: Czy pańską przynależność do PZPR można ocenić w kategoriach pomyłki, błędu czy może ani pomyłki, ani błędu?

W.L.: Nie, to nie była jednak ani pomyłka, ani błąd. To było pewne doświadczenie, które bardzo wiele mnie nauczyło. Byłbym zupełnie innym człowiekiem gdybym tego nie doświadczył. Myślę też, że mniej wiedziałbym o rzeczywistości, może inaczej bym wiedział. Byłbym chyba bardziej bezradny wobec rzeczywistości. Znacznie lepiej rozumie się fenomen tak zorganizowanej struktury władzy, gdy uczestniczyć się w niej przez pewien czas. Uczestnictwo to było kształtujące, jakkolwiek było ono zarazem źródłem rozmaitych cierpień i, prawdę mówiąc, niewielu satysfakcji. Ale przecież nie tylko z punktu widzenia szczęściadajności ocenia się różne doświadczenia. Uważam jednak, że moja decyzja o przystąpieniu do PZPR, podjęta w wieku 18 lat, nie była w pełni odpowiedzialna. Jeśli można sformułować jakąś naukę dla tych, którzy dzisiaj mają 17-18 lat, to taką, że gdy się podejmuje decyzję o afiliacjach organizacyjnych, ważniejsza jest wiedza o rzeczywistości, w której dane instytucje są zanurzone, niż wiedza o ideałach, w które się wierzy. Trzeba mieć ideały i trzeba w nie wierzyć, natomiast trzeba wiedzieć, co się zdarzyło wcześniej. /.../

Dzisiaj, kiedy znajduję się już poza szeregami PZPR, nie boję się sytuacji walki. Stałem się odporniejszy, nie boję się w ogóle tego systemu. Gdy byłem w środku, bałem się go bardziej. Mogą mi robić różne świństwa, tylko że one nie mogą mnie już dotknąć.

Tego, co najistotniejsze - swobody myślenia, swobody uznawania pewnych wartości - odebrać mi nie mogą. Musieliby mnie zabić. Tego tymczasem nie robią na dostatecznie szeroką skalę.



"Ja tu tylko sprzątam"

Z MIROSŁAWEM CROJECKIM ROZMAWIA MAGDALENA ABE

M.A.: Pozwolisz, że najpierw zadam ci kilka porządkujących pytań: kiedy i jak powstał "Kontakt" w Paryżu? Jakie były trudności i kto pomógł je przełamać? Na przykład w numerze marcowym waszego pisma ukazał się nekrolog żołnierza AK, Andrzeja Szkalarczyka, z notatką, że dzięki niemu powstał "Kontakt" i "Video-Kontakt". Jak to było naprawdę?

M.Ch.: W powstaniu "Kontakt" pomogli oczywiście nie tylko on - trzeba by sięgnąć do pierwszych numerów miesięcznika, gdzie wymienionych jest jeszcze kilka innych osób. Były tam też, między innymi, podziękowania dla francuskiej centrali Związkuw; Force Ouvriere, która nam drukowała nieodpłatnie pierwsze numery "Kontakt". W początkowym okresie Force Ouvriere wysyłała również, na swój koszt, numery "Kontakt". Pomagali nam poza tym, w najroźniejszych formach, jeszcze inni ludzie - ktoś finansował nam na przykład zakup maszyny offsetowej. To zaczęły nabyć ją na swoją firmę/co obniża podatki/, a maszyna ta stoi u nas do dziś. W podobny sposób został zakupiony sprzęt video. W końcu 1984 roku mieliśmy już prawie pełne wyposażenie studia. Słowem - de iure - sprzęt nie jest naszą własnością, ale - de facto - tak.

M.A.: Czy wśród pomagających były także polskie firmy?

M.Ch.: Tak. Wyznana zresztą, że woleliśmy taką formę pomocy. Nasze maszyny nie są bowiem konkurencyjne dla kraju, bo tego sprzętu i tak nie możemy wyśłać.

M.A.: Ile numerów pisma już się ukazało? Jaki jest jego nakład i czy opiera się one na prenumeratach? Do jakich krajów rozsyłane jest pismo, ile idzie go do Polski, choć tu, od pewnego czasu, "Kontakt" jest przedrukowywany. Skąd pismo czerpie środki?

M.Ch.: Ukazało się 77 numerów - nasz miesięcznik istnieje już ponad 6 lat, zaczęliśmy go wydawać w kwietniu 1982 roku. Nakład jest oczywiście za mały jak na nasze ambicje. Nie wiem tak od razu powiedzieć, do ilu krajów rozsyłane jest pismo. W każdym razie wysyłamy je m.in. do Kuwejtu, Bangladeszu, Pakistanu, Kongo i Angoli. Do i oczywiście do wszystkich tradycyjnych miejsc w Europie Zachodniej /może tylko bez Andorry, ale do Monako tak/. Ponadto do USA, Kanady, Ameryki Południowej /Argentyna, Brazylia i in./ oraz do Japonii.

A teraz o środkach. Czerpiamy je po pierwsze ze sprzedaży numerów. Po drugie, nie będę ukrywał, że otrzymujemy pomoc finansową, ale nawet gdyby jej nie było, to i tak "Kontakt" by się ukazywał, gdyż na siebie zarabiamy; tyle że wówczas ludzie pracujący w piśmie musieliby pracować prawie za darmo i nie można by było płacić honorariów autorskich. Byłoby oczywiście o wiele, wiele trudniej.

M.A.: Czy zakładając pismo miałeś przed oczami jakiś wzór, którego z pism wydawanych na emigracji, powieźmy "Kulturę" albo "Aneks"? Czy nie obawiałeś się konkurencji? Do kogo przede wszystkim adresowany jest "Kontakt"?

M.Ch.: Jeśli weźmiesz choćby pierwszy numer pisma - format, ustawienie zdjęć, rysunki - to od razu widać, że jest to pismo inne niż te, które dotychczas wydawano na emigracji. Chcieliśmy zrezygnować z ubogiej oprawy graficznej. Jest to też jedyna pismo /poza dziennikami/, które zamane jest w kolumnach.

Jeśli chodzi o stronę merytoryczną, to wystartowaliśmy ze złymi założeniami, choć innymi niż istniejące pisma emigracyjne. Żyłmi, bo wydawało nam się, że po coup d'état, po 13 grudnia, Jaruzelski kaferuje opozycjonistom wyjazd, szeroką emigrację, i że będzie tu masa ludzi, tak jak to miało miejsce po wypadkach na Węgrzech w 1956 czy w Czechosłowacji w 1968, i że trzeba będzie stworzyć dla nich jakieś forum. Chcieliśmy coś wydawać, bo łatwo było zdobyć czytelników; wszyscy byli wówczas bardzo Polską zainteresowani. Konkurencja była, oczywiście, bardzo duża ale korzystaliśmy z koniunktury. Stąd też nasze pismo ma taką a nie inną nazwę - nie jest ono "dodatkiem" do tego, co wychodzi w kraju i nie jest to też na przykład "Kultura", która była pismem na emigracji i dla emigracji. Jest to pismo, które od początku /patrz deklaracja ideowa/ zakładało, że ma być kontaktem między żyjącymi tutaj Polakami, Polakami w kraju, a Francuzami czy Amerykanami.

M.A.: Wasze pismo nie ukazuje się przecież w wersjach obcojęzycznych...

M.Ch.: Nie, chociaż mówiliśmy o tym w założeniach, w pierwszym numerze; dawaliśmy zresztą streszczenia wszystkich materiałów po angielsku i francusku. Od początku twierdziłem, że nie warto wydawać pisma w języku francuskim, bo dobrze znamy Polskę a nie Francję i dlatego bzdurą jest robienie pisma dla obcokrajowców. We Francji istnieje zresztą bardzo dobre pismo "Le Nouvelle Alternative" - i tam można publikować dla Francuzów. W języku angielskim ukazuje się z kolei "Index of Sensorship". Lepiej i do szerszej publiczności docierać można za pomocą dobrze osadzonych periodyków. Polacy zresztą często nie mówią po francusku.

M.A.: Czy "Kontakt" prowadzi jakąś określoną politykę redakcyjną w doborze publikowanych materiałów? Pismo jest bardzo żywe - jest w nim publicystyka, historia, dział literacko-artystyczny, kronika wydarzeń w kraju i na świecie. Czy może komitet redakcyjny stara się po prostu aby miesięcznik był aktualny i ciekawy? Chyba słusznie zaprzestaliście też obszernych przedruków materiałów z pism krajowych - jest to niepotrzebne skoro "Kontakt" "wraca" do Polski.

M.Ch.: Istnieją, rzecz jasna, preferencje pisma - wystarczy spojrzeć na okładkę, na której już od pierwszego numeru widnieje napis, że pismo redagują członkowie i sympatycy NSZZ "Solidarność". To nakłada pewne ramy. Nie jest więc tak, że chcemy się pod coś podwiązać. Primo - poczuwamy się do łączności ze Związkiem, secundo - w przeciwieństwie do wielu ludzi w kraju i na emigracji, którzy jeszcze pół roku temu uważali, że "Solidarności" już nie ma, że jest to reanimowanie trupa - my z uporem stale pisaliśmy o "Solidarności". Nasza wiedza o kraju pozwalała nam

mieć głębokie przekonanie, że Związek po prostu jest, choć nie każdy go widzi. Myślę, że wydarzenia ostatnich tygodni przekonały tych, co byli sceptyczni i nieprzekonani. Główną Zresztą przyczyną rozstania z redaktorem naczelnym "Kontakt", Bronisławem Wildsteinem, była właśnie kwestia widzenia "Solidarności". W pewnym momencie napis o sympatykach i członkach "Solidarności" po prostu zniknął z naszej okładki. Właśnie za jego sprawą.

M.A.: Skoro już o tym mowa, konflikt w "Kontakcie" źle był odebrany w Polsce.

M.Ch.: Tu nie chodziło przecież tylko o pieniądze i nie tylko o francuski sąd pracy. Po prostu były rozdźwięki polityczne, choć jakby objawiające się także w postaci małych politycznych konfliktów. Ale to już jest za nami.

Wracając jednak do poprzedniego pytania. Z początku robiliśmy przedruki bo łączność z Polską była utrudniona, a nam chodziło o przekazywanie materiałów krajowym ludziom na emigracji. Uważam Zresztą, że lepiej zrobić przedruk czegoś ważnego niż opisywać rzeczywistość kraju, w którym od dawna się nie było. Dziś już nie ma takiej konieczności, połowę materiałów otrzymujemy wprost z kraju. Poza tym, żeby w ogóle zdobyć autorów, trzeba trochę czasu, pismo musi osiągnąć przecież jakąś rangę. Z początku zresztą nie było także tylu ludzi z kraju.

M.A.: Czy liberalizacja w Polsce wpłynęła na lepsze możliwości redagowania pisma, czy też jest to bez znaczenia?

M.Ch.: Technicznie może to ułatwiło pracę, ale jeśli chodzi o sprawę zawartości pisma, jasne jest, że dużo łatwiej jest redagować je, gdy mamy sytuację czarno-białą. Im większa jest tzw. szara strefa, tym trudniej jest się w tym znaleźć, tym trudniej określić granice kolaboracji. Ale, oczywiście, teraz jest łatwiej, wiele rzeczy można np. załatwić przez telefon.

M.A.: Z iloma ośrodkami wydawniczymi i politycznymi na emigracji współpracuje "Kontakt" i - mówiąc szerzej - całe Stowarzyszenie? Wiadomo, że macie ścisłą współpracę np. z RWE.

M.Ch.: Utrzymujemy kontakty z wieloma ludźmi, ale trudno jest często mówić o współpracy, gdyż działają tu prawa konkurencji. "Video-Kontakt" zrobił np. film o "Kulturze" - to o czymś przecież świadczy. Z innymi pismami emigracyjnymi raczej nie ma współpracy. Jak u nas spada tekst, to spada. Współpracujemy natomiast z RWE, RFI, BBC, z "Człosem Ameryki" oraz z ośrodkami popierającymi "Solidarność". Stowarzyszenie "Kontakt" jest członkiem Porozumienia Organizacji Popierających Solidarność, gdzie należą organizacje ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Japonii, Europy i Australii. Porozumienie istnieje już od 5 lat. W Paryżu w maju br. odbył się zjazd tych organizacji.

M.A.: A jak wyglądała współpraca pisma i Stowarzyszenia z innymi emigracjami z Europy Środkowej? W tegorocznym, kwietniowym numerze "Kontakt" zamieszczona była bardzo ciekawa dyskusja - "Emigracja a możliwości walki politycznej".

M.Ch. : Przy powstaniu "Kontaktu" ogromną rolę odegrał Paweł Tigrid - taki czeski Giedroyc. Swoją pomocą wsparła nas także "Russkaja Myśl" i środowisko "Kontynentu", zwłaszcza Natalia Gerbaniewska./wymyśliła nam nawet nazwę/. Od początku też byliśmy blisko "Magyar Fizetek", który redaguje Pierre Kende. Stałym, od lat naszym współpracownikiem jest Michnea Berindei, Rumun. Już jednak we wcześniejszych numerach "Kontaktu" były publikowane dyskusje o współpracy różnych emigracji, np. z Litwinami czy Ukraińcami. Tymi zagadnieniami zajmuje się u nas przede wszystkim Eugeniusz Kłoc.

M.A. : Stowarzyszenie "Kontakt" wydaje też videokasety. Czy to był twój pomysł? Wydajecie również "Biuletyn Afgański" - co jeszcze?

M.Ch. : Dotychczas wyprodukowaliśmy około 20 videokaset i 15 Magazynów. Kto wpadł na pomysł video? Właściwie nie wiem, czy to był mój pomysł - w którymś momencie po prostu zobaczyliśmy, że w Polsce jest coraz więcej magnetowidów - był to bodajże rok 1983. Na początku 1984 zaczęliśmy produkcję, nie mając ani kamery, ani montażu. Pierwszy był film o "Kulturze" - robiliśmy go prawie rok. Jeśli chodzi o "Biuletyn Afgański" to wydajemy go już trzeci rok. Po angielsku drukujemy jeszcze "Polish Agriculture". Zaczęliśmy drukować to pismo w momencie, gdy miała powstać kościelna fundacja rolna. Okazało się, że jedynym właściwie dostarcycielem wiadomości o polskich rolnikach są ezerwoni. Tymczasem komitet w Brukseli, Parlament Europejski i różne instytucje, które się w tę sprawę zaangażowały, potrzebowały prawdziwych informacji.

M.A. : Słyszeliśmy o twoim pomysle nadawania do Polski telewizyjnych programów satelitarnych. Jak to ma wyglądać i jak dalece sprawa ta jest zaawansowana?

M.Ch. : Jest to kwestia czasu - może ruszymy z tym za jakieś dwa lata. Na to trzeba ogromnych środków. Istotnie, pociągają mnie rzeczy, które wydają się nierealne. Tak było przecież z "NOWĄ" w kraju. Rozsądni ludzie pukali się w czoło, pytali kto to będzie czytał. A potem przecież wszystko się wspaniale rozwinęło. Podobnie było również z video. Też stukano się w głowę, mówiono, że za drogo... Ale wracając do programów satelitarnych: problem polega na tym, że trzeba mieć straszne pieniądze, a naszym celem jest przecież niezależność. W związku z tym trzeba znaleźć odpowiednią formułę, by mieć możliwie najmniejszą ilość takich problemów, jakie miał J.Nowak w RWE ze stale zmieniającymi się ekipami amerykańskimi. Nie chodzi więc tylko o problemy techniczne, bo właściwie moglibyśmy te programy robić już jutro. Potrzeba nam pieniędzy ale i niezależności. Może takim źródłem pomocy będzie Parlament Europejski?

M.A. : Jakie kontakty ma Stowarzyszenie z francuską prasą i związkami zawodowymi, a może także i z politykami?

M.Ch. : Ze związkami zawodowymi w zasadzie nie mamy kontaktów roboczych. Bezpośrednio współpracuje z nimi paryskie Biuro "Solidarności" /Piotr Chruszczyński/ i nie chcemy sobie wchodzić w drogę. Oczywiście mamy mnóstwo przyjaciół we francuskich związkach zawodowych, które są zresztą bardzo ciekawe: szefem Force Ouvriere jest na przykład od 20 lat ta sama osoba, rzecz jasna na kolejną kadencję jak najbardziej demokratycznie wybierana. A współpraca z prasą francuską? Myślę, że w tej chwili nie ma

chyba francuskiego dziennikarza, który by jadąc do Polski nie "przeszedł" wcześniej przez "Kontakt". Tu można bowiem dostać kontakty i adresy. Współpracujemy też blisko z telewizją - tym wszystkim zajmuje się Tomek Iabędź i moja żona. Program "Resistance" od czasu do czasu emituje programy o Polsce - ogromna ilość materiałów, które mają, pochodzi z "Kontakt". Nieznam też chyba rozmowy dla francuskiego radia czy telewizji /przynajmniej od roku/, której byśmy nie przeprowadzali.

M.A.: Czy pomagaliście również w zrobieniu głośnej audycji telewizyjnej "Apostrophe" o Wałęsie, po ukazaniu się francuskiego wydania "Drogi nadziei"?

M.Ch.: Oczywiście. I teraz też, po strajku w Stoczni, zrobiliśmy z nim pierwszy wywiad dla Radia Luxembourg. Jest to jeden z najważniejszych programów - we wszystkich językach, w Anglii, Francji i w Niemczech. Ważną jest trudno złapać i trzeba mieć dobre kontakty w kraju, by się to udało. W czasie sierpniowych strajków o 6 rano wyjeżdżał od nas serwis informacyjny z dnia poprzedniego do kilkunastu gazet we Francji. Najważniejsze wydarzenia są oczywiście do uzyskania na teleksach, ale u nas można znaleźć ciekawe materiały dodatkowe, wywiady, wiadomości z terenu itp. Uzgodniliśmy przy tym, że nasze informacje przekazujemy na blankietach Biura Solidarności. Serwis dla prasy francuskiej robiony jest od 11 w nocy i o 6 rano rozłożony metrem do redakcji zainteresowanych gazet.

M.A.: Jesteś swego rodzaju człowiekiem-institucją. Jak wygląda twój dzień pracy? Pracujesz przecież przez okrągły dzień od świtu do nocy...

M.Ch.: Siłą rzeczy mówię tu trochę o sobie, ale przecież w Stowarzyszeniu pracuje cały zespół ludzi. Redaktorem miesięcznika jest Jurek Nowacki. Wilmy też nie ja robię - przecież ja nawet nie umiem trzymać kamery... Co ja robię? Ależ ja właściwie nic nie robię! Ja tu tylko sprzątam. Ale fakt, że nie ma ani jednego normalnego dnia, nawet - kurczę - w niedzielę.

M.A.: W tej chwili w Polsce znów jest gorący okres, strajki, zapowiedź rozmów Kiszczak-Wałęsa. Jak oceniasz obecną sytuację? Czy jesteś "ewolucjonistą" czy "rewolucjonistą"?

M.Ch.: Née jestem zbyt dobrze zorientowany w sytuacji w Polsce, mam natomiast nieśłą orientację w sytuacji panującej w Związku, w opozycji społecznej, w strajkach i demonstracjach. Nie wiem, co jest na plenum KC - to mnie zresztą nie obchodzi, nie śledzę tego, co odbywa się na szczytach władzy... Dopóki ludzie nie mają możliwości manewru społecznego, jest to bez różnicy. Zdaje sobie sprawę, że jest to może fałszywe widzenie świata, ale nie mogę w sobie przemóc wstrętu do czerwonego. Czy jestem "ewolucjonistą" czy "rewolucjonistą"? Nie lubię słowa "rewolucjonista". Tyle przyniosło złego, że wymazałbym ja ze słownika działań politycznych. Należy rozmawiać, ale uważam także, że rozmowy tylko wówczas będą miały sens, jeżeli społeczeństwo będzie reprezentowane przez realnie istniejące siły w kraju. Sądzę, że jest dziś tragedią, iż są ludzie o nieskazitelnej opinii i autorytecie, którzy wycofują protesty społeczne, gdyż według nich przeszkadzają one w porozumieniu z władzą. Uważam, że jest dokładnie odwrotnie. Szanse na skuteczną

rozmowy są wtedy, gdy społeczeństwo uderza pięścią w stół. Ale nie tylko. Polityka wyciszania jest samobójcza. Nie wiem, dlaczego nie dostrzegą tego Siksa-Kowicki czy Stelmachowski. /.../

M.A. : A co sądzisz o wychodzeniu pism podziemianych na powierzchnię? Sprawa "Res Publici" nie jest może najaktualniejsza ale problem pozostał.

M.Ch. : Nie ukrywam, że przez długi czas nie będę miał w tym względzie własnego zdania. Kierunek jest chyba słuszny, ale ważna jest też forma i sposób załatwienia sprawy. Dziesięć lat temu w wywiadzie dla pewnej gazety powiedziałem, że celem "NOWEJ" jest samoczyszczenie - po spełnieniu zadań. Chodzi o doprowadzenie do takiej sytuacji, by nielegalne stało się legalne.

/.../

M.A. : Jakie masz dalsze plany? Skąd pochodziły plotki, że masz zostać następcą Giedroycia? I wreszcie - czy myślisz o powrocie do Polski?

M.Ch. : Jakie mam plany - nie powiem. Jeśli chodzi zaś o plotki - o mnie i o Księciu - to można by zacytować "Kulturę", gdzie Jerzy Giedroyc tę sprawę wyjaśniał. Można się też posłużyć wypowiedzią Adama Michnika, który mówił, że gdyby ktoś miał przejąć "Kulturę", to byłoby tak, jakby np. drugi tom "Braci Karamazow" miał napisać inny autor, powiedzmy Aleksy Tołstoj. Jest to niemożliwe, by dla pisma redagowanego w ciągu czterdziestu lat przez jednego człowieka, którego osobowość tak niezwykle się na nim odcisnęła, ktoś był w stanie wskazać następcę. Były to więc tylko zwykłe plotki. A kiedy wrócę? Wtedy, kiedy m.in. firma, dla której robię, wywalczy niepodległość. Ale w porządku. Nie jestem takim bohaterem jak Blumsztajn. Mnie tu dobrze. A poza tym, pytasz o powrót fizyczny. A przecież ja tu właściwie tylko mieszkam, a tak naprawdę - ciągle jestem w Polsce. Wrócę wtedy, kiedy będę mógł robić to co lubię bez konieczności chowania się po piwnicach. Może się zestarzeć, ale, kurczę, już nie mogę... lubię szklaneczkę dobrego wina do obiadu. Mówię prawdę.

Sierpień 1986

Dziękujemy Redakcji MOST-u za udostępnienie wywiadu.

Dokumenty

Skazani na śmierć (2)

Białostoczczyzna 1944 - 46

Witold Kudzinowski, ur. 5.VI.1927, rolnik, po 5 kl. szkoły powsz.,
Henryk Fiedorowicz, ur. 25.IV.1925, rolnik /10 ha ziemi/, po 3 kl.szkol-
ki powsz., IV.1944 w AK, Piotr Karpiński, ur. 22.XI.1905, rolnik /25 ha
ziemi/, po 1 kl.szkolki powsz., 4 dzieci, należał do AK, Witold Rogowski,
ur. 10.IV.1927, rolnik /8 ha ziemi/, po 4 kl. szkoły powsz., a także
Edward Popławski i Piotr Grabowski.

5.VIII.1944 WSR w Białymstoku skazał ożterech pierwszych na śmierć /dwóch pozostałych najprawdopodobniej też, brak jednak na ich temat szcze-
gółowych danych/. Kudzinowskiego oskarżono o to, że do 3.VI.1946 nale-
żał do AK, że był w oddziale P-8 organizacji WiN oraz że posiadał rkm
i pistolet. Oskarżony zeznał, że do III.1946 nie działał, miał tylko
kontakty, czytywał gazetkę "Rocha Leśne". Do oddziału P-8 zwerbowano go
w marcu 1946. Uczestniczył jako ubezpieczający, gdy zabito dwóch schwy-
tanych Żydzieli. Będąc w bandzie otrzymał 200 zł, a potem 800 zł. Po-
strzelony 5.IV.1946 powrócił do domu. We wniosku Wydziału Prawnego KRN
/sformułowanym przez I.Kłajnermana/ stwierdzono, że w sprawie trudno
dopatrzyć się momentów politycznych; brakuje dowodów, że awanturniczy
oddział P-8 był podporządkowany WiN-owi; ponieważ skazany nie brał
udziału w egzekucji oraz że względu na młody wiek, nie jest on stracony
dla społeczeństwa - stał propozycja zamiany wyroku na 15 lat więzienia.
B.Bierut /19.VIII.1946/ skorzystał z prawa łaski, przychyłając się do
wniosku. /I tu znawa nie wiadomo, kto zorganizował oddział P-8, kto
był jego dowódcą/. Fiedorowicza oskarżono o udział w napadzie na nie-
znanego gospodarza, któremu zrabowano 4 litry wódki, 2 kilogramy kieł-
basy i 2 kilogramy słoniny /dostał z tego 1 litr wódki/; innym razem
za udział w napadzie dostał 1/2 kg słoniny. Brał udział w akcji os-
trzyżenia włosew kobiecie. Matka, Zofia Reginowa, pisała w podaniu, że
syn został wciągnięty do akcji "przez namowę swoich kolegów", że był
niedorozwinięty i wcale niekształcony, sierota, że jej drugi mąż dostał
pomieszczenia zmysłów - pozostała więc sama z dwójgim jeszcze małych
dzieci. /Fiedorowicza, jak wynika ze wzmianek, prawdopodobnie właska-
wiono/. Karpińskiego oskarżono o to, że nie ujawnił się i poszedł do
WiN, otrzymywał gazetkę "Z Podziemi", był członkiem "rezerwy WiN",
w każdej chwili był gotów wystąpić do walki przeciw Zniszczeniemu
przez ustrojowi obecnemu, w swej stodole przechowywał automat. Os-
karżony zeznał, że w żadnym napadzie nie brał udziału /właściwie ten
analfabeta oskarżony był o czytanie gazetki/. Z wniosku Wydziału Prawne-
go KRN: "Stan faktyczny nie budzi wątpliwości w świetle przyznania się
oskarżonego do winy" /jakby to mogło wyręczyć/; oskarżony zeznał, że

gospodarował i nie brał udziału w bandzie, i dalej: "Zachowanie się po dokonaniu przestępstwa, jego tupet przy składaniu zeznań świadczą o dużym napięciu złej woli. Na tę jego świadomość niewątpliwie wpływała lektura nielegalnych gazetek, pełnych nienawiści do obecnego naszego ustroju"; skazany przyznał się do przynależności do AK, nie przyznał się do należenia do WiN-u; kara śmierci za samą przynależność do WiN-u "jest oczywicie nadbyt surowa", na czworo dzieci, "wydaje się możliwa zamiana na KS na 12 lat więzienia". B. Bierut /19.VIII.1946/ zamienił wyrok śmierci na 15 lat więzienia. Rogowskiego oskarżono o to, że był aktywnym członkiem zbrojnej bojówki "żandarmerii NSZ" /IV - 18.VI.1946/, brał udział w dwóch akcjach: na majątek państwowy Dobki /w nocy z 13 na 14 maja 1946/ i na dwóch mieszkańców wsi Radule; miał wtedy magazyna, 22 kule i granat. Oskarżony przyznał, że zwerbował go brat, przysięgę złożył przed dowódcą Sikorskim, ps. "Cryf", oddział liczył 15 osób, otrzymywał gazetkę "Walka", dostał karabin /IV.1946/, 22 sztuki amunicji i granat zaczepny, że grozili /8.VI.1946/ Jaroszczykowej i Ossowskiej, by nie bierały łaki od Wasilewskiego, "gdyż w przeciwnym razie będzie z nimi źle". Rogowski przypuszczał, że rozkaz ten wydany mu został w związku z przynależnością Wasilewskiego do NSZ. Stwierdził też, że na rozkaz "Cryfa" poszedłby na akcję, której celem miało być "mordowanie funkcjonariuszy UB i MO". /Rogowskiego prawdopodobnie ulaskawiono, jak wynika ze wzmianek/.

/Z akt wynika, że oskarżeni ani się nie przyznali, ani ze sobą nie współpracowali, i nie wiadomo, dlaczego wyteczono im leżący proces. Była to zresztą metoda stosowana równie często, jak i metoda odwrotna - wytaczanie oskarżeń z jednej sprawy dwóch, trzech odrębnych procesów, jak na przykład w sprawie Komendy Głównej NSZ jesienią 1946. Stosowano tę metodę później, czemu nie mógł się nadziwić sędzia Kieczyński Szerer, pisząc o procesach wojewodzkich z lat 1951-52. Jego memoriał w tej sprawie, pisany w 1957 r., zamieszczony w Zeszytach Historycznych paryskiej "Kultury" /1978/, opublikowano też jesienią 1981 w kilku ostatnich numerach "Tygodnika Solidarność"./

Stanisław Kundzicz, ur. VIII.1922, po 4 kl. szkoły powsz. Oskarżony o to, że był w policji niemieckiej i że był w NSZ. Kundzicz zeznał, że był w AK, a nie w NSZ, oraz że w policji był do dyspozycji wójta.

19.III.1946 WSR w Białymstoku skazał go na 10 lat więzienia /choć z oskarżenia o udział w policji niemieckiej sprawę winien rozpatrywać sąd specjalny/. KSW uchylił wyrok jako zbyt łagodny i przekazał sprawę do innego sądu.

30.VIII.1946 WSR w Poznaniu skazał go na karę śmierci uznając, że należał do AK i dokonał napadu. Ojciec skazanego, Leopold, pisał w podaniu, że syn był w policji w 1941 r. tylko przez 5 tygodni i nikogo nie skrzywdził. Także mieszkańcy jego wsi w powiecie Sokółka wraz z proboszczem, księdzem Dolinkiewiczem, zaświadczyli, że skazany odnosił się do Niemców z nienawiścią i pogardą. Wydział Prawny KKK /we wniosku podpisanym przez L.Klajnermana/ podkreślał, że brak jest dowodów na współpracę skazanego z Niemcami, że wiejska policja była nieuzbrojona i nieumundurowana, że gdyby działał na szkodę Polaków wydałoby się to wcześniej, gdyż stale przebywał w swej wsi, że w 1942 był w PZP /AK/, że był tylko

zwykłym członkiem NSZ oraz że organy władzy prowadzące dochodzenie czyniły to niedbale /nie przekazano jego sprawy sądowi specjalnemu/. Uwzględniając te okoliczności oraz niekaralność skazanego i jego niski poziom umysłowy, wnieskowano o zmianę kary śmierci na 10 lat więzienia. B.Bierut /21.IX.1946/ nie skorzystał z prawa łaski. /mimo jaskrawej oczywistości okoliczności łagodzącej/.

Aleksander Godlewski, ur. 3.III.1911, urzędnik samorządowy. Oskarżony o to, że był członkiem AK /VIII.1941 - 10.V.1945/, ps. "Grzmot", że raz w miesiącu otrzymywał od drużynowego Antoniego Bujnarowskiego, ps. "Torf", nielegalny "Biuletyn Informacyjny", że z 8 na 9 maja 1945 brał udział w napadzie na PUBP w Grajewie, gdzie uwolniono z aresztu 60 osób i zabito 2 funkcjonariuszy UB.

23.X.1946 WSR w Białymstoku skazał go na karę śmierci. Wydział Prawny KRN podkreślił we wniosku, że jedynym materiałem dowodowym są zeznania skazanego, że nie pełnił on funkcji kierowniczych w nielegalnym Związku. "Nie ustalone również, aby pomiędzy zabójstwem dwóch funkcjonariuszy w czasie napadu w Grajewie a działaniem skazanego istniał związek przyczynowy". Dalej zaznaczone, że jest prawdopodobne, iż do chwili aresztowania /2.V.1946/ nie uczestniczył on w działaniach przestępnych, gdyż brak na to dowodów; można też przyjąć za prawdziwe jego zeznanie, iż nie zgłosił się do Komisji Likwidacyjnej AK, ponieważ sądził, że przeszedł być członkiem organizacji po jej rozwiązaniu. Proponowano zmianę kary śmierci na 10 lat więzienia. B.Bierut /15.XII.1946/ zamienił karę śmierci na dożywotnie więzienie. /Sprawa Aleksandra Godlewskiego jest przykładem sądenia i wydawania wyroku za samą przynależność do AK. Wydarcie przyznania się do winy czy nawet do udziału w napadzie, to już kwestia śledztwa. Nadał nie wiadomo, kto napadł wówczas na areszt i zwolnił zatrzymanych. Zwraca także uwagę fakt, że czytanie "Biuletynu Informacyjnego" w czasie okupacji było pożyteczne za przestępstwo antypaństwowe/.

Bronisław Siergaj, ur. 15.VIII.1921, rolnik, po 4 kl.szkoły powsz., żonaty. Oskarżony o to, że należał /15.V. - 15.XII.1945, tj. do dnia aresztowania/ do AK, i że był w oddziale "Brzoza", który działał w Suwalskiem, że brał udział w zabójstwach i rabunkach. Oskarżony zeznał, że nikogo nia zabił, w czasie okupacji walczył w partyzantce AK, zaś w chwili wkroczenia Armii Czerwonej zdał broń z całym oddziałem; następnie krótki okres współpracował z dwoma oficerami radzieckimi, którzy wyszukiwali agentów gestapo; do "bandy AK" wstąpił pod przymusem, gdyż jego dawny dowódca, a ostatnio jego pracodawca, groził mu, że go "kropnie".

28.X.1956 WSR w Białymstoku skazał go na karę śmierci za "udzielanie pomocy" w zabójstwie ppor. Jaworskiego, uniewinnił go natomiast z zarzutu o udział w zabójstwie Stepewskiego i milicjanta Puzynowskiego; stwierdził zarazem silne napięcie złej woli /prawdopodobnie dlatego, że zaprzeczał zarzutom aktu oskarżenia/. Chociaż we wniosek Wydział Prawny potwierdził, że skazany działał pod przymusem, to jednak nie znajdowano podstaw do ulaskawienia. B.Bierut /29.XI.1946/ nie skorzystał z prawa łaski. /"Brzoza" pozostał na wolności, nieujawniony, a innego "dowódcę Siergaję, kpt. Mieczysława Ostrowskiego, ps. "Kropidło", skazano na 10 lat więzienia./

Edmund Markiewicz, ur. 1911, ogrodnik, nauczyciel zawodu, dwoje dzieci.
Jadwik Tararał, ur. 21.III.1926, rolnik, po 7 kl. szkoły powsz., nie karany. Markiewicza oskarżono o to, że był komendantem ośrodka WiN na gminę Drohiczyzn, że zorganizował 4 plutony, zaś Tararała o to, że był dowódcą 6 drużyny WiN, i o posiadanie parabelium. Akt oskarżenia nie podnosił żadnej działalności zbrojnej, nie określał też podległości organizacyjnej WiN w gminie.

23.XI. WSR w Białymstoku na sesji wyjazdowej w Drohiczyźnie w trybie doraźnym skazał obu na karę śmierci z art.14 § 2 mkk i art.86 § 2 KWMP /major Ostapowicz określi przy tym gminę jako najbardziej zagrożoną w powiecie/. B. Bierut /29.XI.1946/ nie skorzystał wobec skazanych z prawa łaski. Podanie o ukaskawienie Markiewicza pisała jego matka /wдова od 1936 r., zamieszkała we wsi/, brat Ignacy /mieszkający w Siedlcach/ i żona Helena. "Mąż mój - pisała żona - został wciągnięty do partii pod przymusem, pod groźbą śmierci jemu i jego rodzinie. Nie pomogły próby męża, aby pozostawiono go w spokoju. Jako dawny członek AK musiał iść przeciw prawdom. Lecz ktoś z nas nie błędzi? Kto nie stoi na rozdrożu wysłi i przekonań politycznych? Lecz przecież nie wszyscy są skazani na śmierć. Mąż się przyznał ze skruchą, że należąc do AK wyrzucił krzywdę Ojczyźnie. Czynnego udziału w partii nie brał, nikogo nie zabił i nie skrzywdził". W drugim podaniu /z 10.II.1947/ brat skazanego podkreślał, że ten chciał "powrócić na dobrą drogę, lecz do fałszego należenia zmuszono go". /Sąd, któremu przewodniczył osławiony Ostapowicz, nie wnikał, kto zmusił oskarżonych do należenia do "partii", kto w gminie Drohiczyzn kazał pod groźbą śmierci "należec do WiN". Rodziny nie zostały powiadomione o wykonaniu wyroku, o czym świadczą daty podań o ukaskawienie, a przecież dekrety przewidywały ogłoszenie w prasie o wykonaniu wyroku śmierci i powiadomienie najbliższych!]

Edward Kościuk, ur. 1.VIII.1926, rolnik, po 7 kl. szkoły powsz., nie karany. Oskarżony o udział /od V.1946/ w kownym związku "Burego", o rozbrojenie straży leśnej z 20 karabinów.

26.XI.1946 WSR w Białymstoku na sesji wyjazdowej we wsi Długosieka w trybie doraźnym skazał go na karę śmierci z art.16 § 1 mkk, stwierdzając duże napięcie zkiej woli oraz biorąc pod uwagę, że "w gminie Kalinówka tego rodzaju przestępstwa szerzą się w sposób nagminny" /czyli w celu prewencji ogólnej/. Wydział Prawny KRN /we wniosku podpisanym przez I.Klajnermana/ stwierdził, że sąd wprawdzie skazał go tylko za udział w nielegalnym związku, a nie za uczestnictwo w napaściach i posiadanie broni bez zezwolenia, ale ponieważ kara jest współmierna do winy, więc rewizja sprawy nie jest celowa; natomiast ze względu na młody wiek, niski poziom umysłowy oraz to, że nie pełnił kierowniczej roli w związku, skazany zasługuje na zmniejszenie kary na dożywotnie więzienie. Ojciec skazanego, Łózeł, pisał w podaniu /29.XI.1946/: "Syn wywieziony na roboty przymusowe w 1942 r. wrócił w kwietniu 1945 r. Ciężkie warunki pracy na roli były jego udziałem, nie należał do żadnej organizacji, nie miał żadnych kontaktów. Ci, którzy pod pozorem walki z ustrójem demokratycznym uprawiali bandytyzm - zaczęli go nachodzić i pod groźbą zamordowania jego i całej rodziny, wciągnęli go do owej bandy na krótkie przeszkolenie. W końcu maja oddział bandy "Burego" pod do-

wództwem "Szczygły" zabrał syna z domu do lasu, skąd wrócił do domu po 4 miesiącach, zwolniony przez nich na błaganie syna, że już takiego życia nie może wytrzymać. Po 11 dniach pobytu w domu syn został aresztowany, 26.XI. osadzony za należenie do KSZ i udział w dwóch napadach. Syn nie jest niewinny, ale chociaż miał wtedy 19 lat, nie miał właściwego wychowania, młody niewyrobiony umysł ugiął się pod wpływem grób ludzi bezwzględnych. Straciłem jednego syna z rąk okupanta. Uratuj życie pozostałego syna, on nie jest zły, rola jego w oddziale bandy była jako pionka bezwolnego". 3.XII.1946 B.Bierut najpierw zaczął pisać sentencję: "Nie skorzystam...", po czym przekreślił ją i nad nią napisał: "Zażądać akt." 24.XII.1946 ponownie napisał: "Nie skorzystam z prawa łaski". 24.III.1947 ojciec skazanego, gdy nie otrzymał odpowiedzi na swe podanie, wysłał nową prośbę o łaskę, tym razem z podpisami sołtysa Puchalskiego i 16 mieszkańców wsi Długozęka, w której raz jeszcze przypominał o wszystkich okolicznościach sprawy, dodając, że 19.XII.1946 ostatni raz przyjął od niego paczkę żywnościową dla syna, a potem skłuba więzienna oświadczyła, że syna w więzieniu białostockim nie ma.

Czesław Mroczo, ur. 23.VIII.1923, kowal. Oskarżony o to, że należał do AK /do IX.1945/, a potem do WiN /do 5.VI.1946/, tj. do chwili aresztowania, że był kolporterem i że posiadał pistolet.

27.XI.1946 WSR w Białymstoku skazał go na karę śmierci za przynależność /1/ do AK i WiN uniewinniając go od zarzutu posiadania broni. Wydział Prawny KRN stwierdzał we wniosku /19.XII.1946/, że skazany nie pełnił funkcji kierowniczych, lecz tylko techniczne, że był w AK od 1943, a nie ujawnił się, bo grożono śmiercią jego rodzinie i że także ze względu na młody wiek zasługuje na zmianę kary śmierci na 15 lat więzienia. B.Bierut /20.XII.1946/ zamienił mu karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Michał Karnienia /Karpień, ur. 1913, rolnik, po 6 kl.szkoły powsz. Oskarżony o to, że do 3.IX.1946 był dowódcą drużyny WiN, że przechowywał automat i pistolet, że kolportował ulotki przeciw zdawaniu świadczeń rzeczowych.

7.XII.1946 WSR w Białymstoku na sesji wyjazdowej w Dąbrowie pow. Sokółka w trybie doraźnym skazał go na karę śmierci z art.86 § 2 KWPF, podkreślając wyjątkowo duże napięcie złej woli, przynależność do szczególnie groźnej organizacji oraz powołując się na to, że w pow. Sokółka przestępstwa bardzo zagrażają bezpieczeństwu publicznemu /czyli ze względuów prewencji ogólnej/. /Dodajmy, że za posiadanie broni w innych województwach skazywano na 2-3 lata więzienia, np. w Kieleckiem, nie mówiąc już o tym, że przed wojną było to wykroczenie karane paratygodniowym aresztem, a zresztą i dekret o ochronie państwa w art.4 § 2 dawał możliwość nadzwyczajnego złagodzenia kary./ B.Bierut /16.XII.1946/ nie skorzystał z prawa łaski. 16.II.1947 do Wydziału Prawnego KRN wpłynęła prośba ojca o łaskę dla skazanego: "Syn mój w żadnych napadach nie brał udziału. Jedyńcis posiadał broń, którą jeszcze miał z czasów walki z Niemcami. Syn był podczas okupacji w AK i teraz wmówili w niego, że to dalej ta sama organizacja. Ponieważ był związany przysięgą, więc nie pozwolili mu się uwolnić i zmusili go do dalszej pracy. Wyrok śmierci

to czas wielki dla 70 letniego ojca. Syn pracował w organizacji nie z własnej woli a pod przymusem i nigdy nie zabił żadnego człowieka. Jest to człowiek dobry, porządny. Pomagał każdemu. Zawsze był uważany za demokratę, bo cieszył się z obecnego rządu i porządku, jaki teraz u nas zapanał. Czekaliśmy z takim upragnieniem wolności i powstania Polski. Syn zawsze dawał nam wiary, że wszystko zke przemienie i znów będziemy mogli się cieszyć wolnością. Rządował się, że Rząd dał ziemie chłopcu, że zwalczal obszarników, a teraz odpowiada przed Sądem, jako wróg obecnej Polski. Jest to straszna tragedia dla mnie i nie rozumiem, jak mogło się to stać. Syn mój nie jest wrogiem demokracji. Ja ojciec mogę zawsze zaświadczyć, że nigdy źle się o Rządzie nie wypowiadał, a przeciwnie, chwalił, że teraz w Polsce jest dobrze, tylko musi jeszcze nastąpić pokój i ludzie się muszą więcej miłować, a nie stale walczyć ze sobą...".

Bernard Werpachowski, lat 50, krawiec po szkole powszechnej. Oskarżony o udział w NSZ, posiadanie broni, udział w napaściach; aresztowany 11.XII. 1945. Oskarżony zeznał, że do 30-osobowego oddziału BSZ/wyposażonego w automaty i rkm/ wstąpił pod przymusem jako "Iga". Miał podlegać "Sokołowi" i komendantowi powiatowemu Zimochowi, ps. "Zach". Brał udział w trzech zebraniach i dostawał gazetkę "Chrobry", zaś podczas napałów na młynarzy bądź rolników był wartownikiem; zrabowane rzeczy "Sokół" miał odstawiać do Białegostoku.

30.IV.1946 WSR w Białymstoku skazał go na karę śmierci. We wniosku Wydziału Prawnego KRN /podpisanym przez W.Barcikowskiego/ zaznaczono, że skazany działał pod przymusem, gdyż "Sokół" groził mu śmiercią, o czym zeznał świadek Leszczyński, że odgrywał rolę podrzędną, że w napaściach nikt nie został zabity ani ranny, a skazany był podczas nich tylko wartownikiem, nie odnosząc z rabunków żadnych korzyści osobistych, że nigdy nie był karany. W pierwszej wersji Barcikowski proponował zamiast kary śmierci na dożywotnie więzienie; zdanie to przekreślił formułując wniosek o zmianę wyroku na 15 lat więzienia. B.Bierut /21.V.1946/ nie skorzystał z prawa łaski. /Sąd nie ujawnił parsonaliów "Sokoła" ani nie skorzystał z przewidzianej prawem możliwości skazania go zaozonie za przestępczą działalność. Z podobnym stanowiskiem sądu spotykamy się w bardzo wielu przytoczonych tu sprawach/.

Stefan Wysocki, ur. 1926, ślusarz, po 3 kl. szkoły powsz., nie karany, Jan Konopko, ur. 1915, rolnik po 2 kl. szkoły powsz. Oskarżeni o udział w szczególnie niebezpiecznej, terrorystycznej, nielegalnej organizacji działającej na terenie woj. białostockiego, kierowanej przez "Rolę", o posiadanie automatów, pistoletów i karabinów, o zbrojne napały, w których zrabowano po 12 tys. zł - na szosie i na stacji Czerwony Bór, a Konopko ponadto o udział w napażdzie na posterunek MO /V.1946/.

24.X. 1946 WSR w Białymstoku /przewodniczył mjr Ostapowicz/ w trybie doroznym skazał obu na karę śmierci z art.86 § 2 ukk /za zrabowanie 24 tys. zł, które zagarnął zapewne anonimowy "Rola"/. Brak wniosku Wydziału Prawnego KRN. B.Bierut /28.X.1946/ nie skorzystał wobec skazanych z prawa łaski.

Wzrost z historii

Andrzej Czapski

W imię wyższych racji...

"Jest to w rzeczy samej mocarstwo z dwóch pierwiastków złożone: z siły fizycznej i z tego co siłę ruch nadaje" - tak pisał o Rosji w 1833 r. Maurycy Mochnacki. Powyższe zdanie jest również związką paryfrazą tajnej policji, jednego z filarów, na którym opierał się system despotyczny. Kilka zdań wstępu orientuje już czytelnika co będzie tematem niniejszego szkicu.

W zamysle autorskim ma to być kilka uporządkowanych uwag i informacji nt. rosyjskiej policji. Temat wprawdzie nie nowy ani odkrywczy, mimo to wciąż fascynujący i przyciągający, tym bardziej, że w historiografii PRL-u nie pojawiła się żadna praca poświęcona w całości "dziełom" policji politycznej.

Policja jest instytucją, która funkcjonowała już w starożytnej Grecji i Rzymie. Wraz z rozwojem cywilizacji europejskiej i tworzeniem się nowych państw na gruzach Cesarstwa Rzymskiego, policja ulegała zmianom i modyfikacjom, przybierała różne formy - "tajne, widne i dwupłciowe" - jak określił je C.K. Norwid. Mimo różnic i licznych zmian istniał element łączący je w postaci podstawy prawnej, sankcjonującej działalność policji. Innowacją na tym tle była tajna policja, która narodziła się w Rosji. Rodowód jej związany jest z carem Mikołajem I. Z jego inicjatywy 3 lipca 1826 roku dotychczasowa Kancelaria Specjalna przy MSW przekształcona została w III Oddział Kancelarii Osobistej J.C.M. Na czele tego oddziału stanął generał-adjutant hrabia Aleksander Christoforowicz Benckendorff, który pełnił też funkcję dowódcy żandarmerii. Z utworzeniem III Oddziału wiąże się anegdota o chustce, którą Mikołaj I wręczył Benckendorffowi. Chustka służyć miała osterianiu łez poddanym. W momencie tego symbolicznego gestu chustka była już mokra od łez tych, którzy sprzeniewierzyli się woli gospodina.

Utworzenie III Oddziału przyjmuje się za początek nowoczesnej tajnej policji rosyjskiej, której rozkwit nastąpił pod koniec XIX i w XX wieku. Przy analizie procesu kształtowania tajnej policji nasuwa się wątpliwość: czy wspomniany III Oddział jest początkiem jej istnienia? Wydaje się, że nasze poszukiwania powinny wziąć początek we wcześniejszych dziejach Rosji. Prowadzą one do okresu tworzenia się nowożytnego państwa. W XVI w. /1565 r./ odnajdujemy "protoplastę" policji rosyjskiej w formie Opriczniny utworzonej przez Iwana Groźnego. Pojęcie i termin opricznina wywodzi się od słowa "opricznyj" - oddzielny, osobny. Z perspektywy historycznej opriczninę należy rozumieć jako specjalny system samoderżawia carskiego. Opricznicy stanowili doborową gwardię cara, zadaniem której miała być likwidacja niepokornych poddanych. Budzili oni poważny lęk i atach dodatkowo podsyłany ich ubiorem. Czarna oponcza narzucona na strój opricznika, psi łeb przytrzeszony do siedła i kiść różg

oprócz wywołania nastroju grozy posiadały dodatkowo znaczenie symboliczne. Żeb pisa symbolizował wierność i przywiązanie do swego pana oraz niechęć i wrogość w stosunku do przeciwników cara. Kiedó różg natomiast "wymiatanie" i bezlitośnie pozbywanie się wrogów z kraju.

Czasg opriczniny stały się czasami bezprawia i ślepego, bezmyślnego terroru realizowanego przez zdzioczonych i bezwzględnych pretorian Iwana IV. Metody, którym posługiwali się opricznicy były akceptowane przez cara. Dlatego też coraz bardziej posuwali się w swoim okrucieństwie. Sprócz "tradycyjnych" metod stosowanych w śledztwie /rozciąganiu, przypa-lanie, okłosta/ wymyślano także i nowe sposoby karania "carskich wrogów". "Oto - pisał A.W.Serazyk w książce Iwan IV Groźny - np. diaka Iwana Wis-kowatego powieszono za nogi na belce, a następnie współpracownicy cara z Malutą Skaratowem na czele podchodzili do wiszącego i po kolei obcinali i wyrabowali różne części ciała... z jednych skazańców dziedziano żywcem po kilka pasów skóry, z innych oaskowicie... Nikitę Fumikowa-kurcowa oblewano na przemian wrzątkiem i lodowatą wodą, tak że skóra oddzieliła się od ciała".

Terror i okrucieństwo opriczniny dotknęły całe ówczesne społeczeństwo rosyjskie. Barbarzyńskie metody opriczniny dotknęły również armię moskiewską, której kadry szalały o połowę. Wkrótce ofiarami stali się sami opricznicy, członkowie rodziny carskiej i duchowni Kościoła prawosławnego. Szacującg przejąwy wszelkiej autonomii car Iwan IV nie zważał się przed wymordowaniem ok. 35 tys. mieszkańców Nowogrodu.

Opricznina zlikwidowana została w 1572 roku. Od samego początku istnienia była "państwem w państwie cara", funkcjonowała poza prawem i odpowiadała tylko przed carem. Cele i metody opriczniny były przyjmowane niemalże genetycznie przez instytucje powołane na jej miejsce.

Następnym krokiem w formowaniu tajnej policji było utworzenie przez cara Aleksęgo Prikaza Wielkiego Gosudarja Tajnych Diez. Istniał on w latach 1654-1676. "A założony został po to aby myśi i sprawy cara speknia-ły się o jego woli i żeby bejarzy i donmscy ludzie nie o tym nie wie-dzieli" - pisał jeden z ówczesnych. Działalność prikazu polegała na wszechstronnej inwigilacji i kontroli urzędów państwowych oraz społeczeństwa. Duży wpływ na kształt prikazu miało Soborne Ukożenije z 1649 roku. Wprowadziło ono bowiem obowiązek donosicielstwa. Przy składaniu donosu należało wypowiedzieć formułę "Słowo i dież gosudariewo". Wkrótce donosicielstwo stało się podporą działalności organów śledczych w sprawach politycznych. Ponadto dodać należy, iż osoba, która wiedzia-ła o przestępstwie a nie doniosła, podlegała karze. W "sprawach" poli-tycznych kara była tylko jedna - śmierć. Stosowano również karę katorgi, zesłania na Syberię czy przesiedlenia. Kary te wedgą wkrótce na stałe do arsenału środków jakimi posługiwac się będzie policja carska.

W 1676 roku Prikaz Wielkiego Gosudarja Tajnych Diez przestał istnieć. Na jego miejsce powołano instytucję o podobnym charakterze. Piotr I po-wołał Prieobrazenski Prikaz - najwyższy organ tajnej policji carskiej, na czele którego stanął F.Romdanowski. Niedługo jednak, bo już w roku 1708, miejsce prikazu zajęła Tajna Kancelaria. Cele i metody jakimi się posługiwala niewiele odbiegały od wcześniejszych wzorców policyjnych. Szczególnego znaczenia nabrała Tajna Kancelaria w latach panowania carycy Anny. Wówczas to przy udziale tajnej policji nastąpił wzrost terroru wobec społeczeństwa. Kwitko nadal donosicielstwo. Ludzi posejrzanych

o przestępstwa wobec osoby carskiej /i nie tylko/ torturowano i zsyłano na Syberię bądź likwidowano. Ogółem w czasach "birońowszczyzny" zesłano 20 tys. osób.

W 1801 roku zostaje zachwiany rozwój i ciągłość tajnej policji. Wówczas to JCH Aleksander I zniósł Tajną Kancelarię. W niedługim czasie okazało się jednak, że kolejni władcy Rosji nie mogą obyć się bez instytucji policyjnych. Bez nich bowiem powstawała luka, którą należało koniecznie wypełnić, bo mechanizm zaczynał się. Aż dziw brak, że nikt nie spiskował, nikt nie czytał na życie cara, nikt nic... Car jednak bez tajnej policji nie mógł poznać zamierów i myśli jakie rodziły się w umysłach poddanych. Dlatego też został utworzony w 1807 roku Komitet Bezpieczeństwa Publicznego. Oprócz podstawowych funkcji zajmował się on także zwalczaniem tych wszystkich, co myślą o odbudowie państwa polskiego. W 1811 roku Komitet Bezpieczeństwa Publicznego zamieniony został przez Ministerstwo Policji. Wkrótce kompetencje ministerstwa będą coraz bardziej rozszerzane. Następuje wówczas coraz większy rozwój donosicielstwa i szpiegostwa. Zarządzone także perlustrację korespondencji, aby skuteczniej działać przeciw "wrogom państwa". W sukurs poczynaniam tajnej policji przyszło Ministerstwo Oświaty. Wydane bowiem zarządzenie, że Ministerstwo Oświaty nie może zezwolić na druk żadnej książki bez zgody Ministerstwa Policji. Od tego czasu cenzura stała się sojusznikiem policji politycznej w Rosji.

Następnym etapem w formowaniu się nowoczesnej policji było utworzenie III Oddziału przez Mikołaja I, dekretem z dnia 3 lipca 1826 roku. Cele i zadania III Oddziału Jego Imperatorskiego Wieliczeństwa Kancelarii obejmowały:

1. wszelkie zarządzenia oraz informacje dotyczące najwyższych władz policyjnych,
2. sprawy sekt i odszczepieństw,
3. sprawy fałszowania dokumentów i pieniędzy,
4. nadzór oraz wydawanie decyzji we wszystkich sprawach dotyczących osób znajdujących się pod nadzorem policji,
5. zsyłanie osób znajdujących się pod nadzorem, czyli tzw. podejrzanych i szkodliwych,
6. zarząd nad wszystkimi miejscami odosobnienia, w których przebywają przestępcy polityczni,
7. całokształt zarządzeń w sprawach cudzoziemców w Rosji,
8. sporządzanie raportów o wszystkim co się wydarzyło w kraju,
9. sporządzanie statystyki policyjnej,
10. cenzura teatralna.

Na czele III Oddziału stanął Aleksander Christoforowicz Benckendorff. Przedstawił carowi już w styczniu 1826 roku projekt organizacji Ministerstwa Policji i powołania nowego korpusu żandarmerii. Projekt ten po części był zatwierdzony i zrealizowany. Niemal z powołaniem III Oddziału utworzone żandarmerię jako policję polityczną, nad którą władzę zwierzchnią sprawował również Benckendorff. Instrukcje wydane żandarmerii były następujące:

1. śledzić we wszystkich instytucjach i wszystkich warstwach społecznych nadużycia i postępowania sprzeczne z prawem,
2. baczyć by moczyła władza osobista, ludzie silni lub noszący się ze zły mi zamiarami nie naruszali spokoju i praw obywatelskich,

3. zapobiegać i likwidować wszelkie zło, zabezpieczać w tych, którzy wkroczyli na błędną drogę dążenia ku dobru i sprowadzać ich na drogę prawdy,
4. starać się pozyskać szacunek i zaufanie wszystkich stanów i szerzyć w społeczeństwie przekonanie, że za pośrednictwem nowej instytucji głos każdego obywatela może dojść do tronu carskiego,
5. wyszukiwać i wyróżniać skromnych i lojalnych obywateli.

Obiada i fałsz zawarte w tej instrukcji były również cechą charakterystyczną funkcjonariuszy policji i żandarmerii, które w bardzo dużym stopniu korzystały z usług agentów i szpicli o nienajlepszej reputacji. Żandarmeria, wzorem III Oddziału, umieszczała swych agentów wszędzie, gdzie mogło narodzić się prawdziwe lub urojone zagrożenie.

W celu ściślejszego podporządkowania Rosji nadzorowi III Oddziału i żandarmerii podzielono ją na 5, a w roku 1843 - 8 okręgów. Na czele każdego okręgu znajdował się generał korpusu żandarmów. Ponadto nadzór nad jednostkami mniejszymi niż okręg powierzono oficerom żandarmerii. Nie tylko Benckendorff, ale i jego zastępcy dążyli do tego, aby pokryć Rosję siecią swych agentów. Ponadto prowadzono działalność dążącą do zmiany mentalności poddanych, dla których szpiegostwo i donosicielstwo stałoby się cnotą. Pomimo to Benckendorff twierdził, że działalność policji winna być scentralizowana i zakonspirowana tak, aby "nawet Zarządzający kancelarią nie powinien znać wszystkich pracujących u niego agentów". Agenci mieli rekrutować się ze wszystkich warstw społecznych.

W swej działalności III Oddział rozwinął i doprowadził do perfekcji nową metodę, które na stałe weszła do policyjnego repertuaru - prowokację. Na polu takiej działalności zrobili kariery Polacy: Tadeusz Bułharyn-Bieliński i Julian Bałaszewicz-Potocki. Pierwszy z nich był współredaktorem bardzo poczytnej w Rosji gazety "Siewiernoj Peczoty", w której zamieszczał artykuły inspirowane bezpośrednio przez funkcjonariuszy policyjnych. Ponadto III Oddział udzielał wskazówek, instrukcji w jaki sposób należy pisać o istotnych zjawiskach i wydarzeniach w Europie i Rosji. Poprzez taką działalność sterowano i manipulowano publicznością czytelniczą.

Drugi z Polaków - Julian Bałaszewicz - "jeden z najzdolniejszych i największych prowokatorów, jakich miała policja carska w XIX w." przyczynił się do licznych sukcesów III Oddziału. Prowokatorską działalność prowadził on wśród emigrantów polskich i rosyjskich w Paryżu i Londynie. Gry i zabiegi Bałaszewicza miały doprowadzić do skłócenia i niezgody między emigrantami polskimi i rosyjskimi. Osobę J. Bałaszewicza obciążać należy przygotowaniem przez niego raportów zawierających nazwiska emisariuszy i trasy przewozu broni dla powstańców styczniowych, wysyłanych do III Oddziału.

Po śmierci Mikołaja I, car Aleksander II przeprowadził szereg reform sądowych w Rosji. Wynikało z nich, że żandarmeria powinna być zlikwidowana. Pomimo to żandarmeria nadal istniała w zmienionej formie. Pracami jej kierował obecnie Departament Policji MSW, który wkrótce był kontrolowany przez żandarmerię. Dla wzmocnienia inicjatyw podejmowanych przez aparat represji utworzono Oddziały Ochrony Porządku Państwowego i Ładu Społecznego zwane popularnie Ochraną. Zadaniem jej polegało na tropieniu przestępstw politycznych, co nie oznacza, że na tym kończyły się jej kompeten-

oje. Organizowano gęstą sieć prowokatorów i donosicieli umieszczając ich we wszystkich niemal organizacjach rewolucyjnych, terrorystycznych czy komórkach nielegalnie działających partii politycznych. Prowokacja stała się ulubioną bronią Ochrany. "Bo przecież - pisał W. Karpiński - aparat prowokacji był nie tylko narzędziem walki z przeciwnikami politycznym, był też - a po pewnym czasie przede wszystkim - narzędziem walki o wpływy i stanowiska. Prowokatorzy /np. Jewno Azef, członek KC eserów, autor 28 zamachów, czy R. Zubatow/ nie tylko śledzili tajne drukarnie czy organizacje, ale sami je zakładali aby mieć na swym koncie więcej zasług, aby udowodnić swoją niezbędność w systemie.

W 1917 r. w Rosji dokonano rewolucji ludowej, a później październikowej, w wyniku której władzę zdobyli bolszewicy. Wraz z upadkiem carskiej Rosji przestała istnieć Ochra, co nie oznaczało końca policji politycznej. Bolszewicy po udanym przewrocie utworzyli aparat represji. W grudniu 1917 r. powstała Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kontrrewolucją, Sabotażem i Spekulacją /WCZK/ pod kierownictwem F. E. Dzierżyńskiego. Czeka uzyskała szerokie pełnomocnictwa do walki ze spekulacją i sabotażem gospodarczym. Jej pierwotna funkcja uległa zmianie, bowiem stała się w niedługim czasie organem podstawowym do walki z przeciwnikiem politycznym. Od połowy 1918 roku nastąpił wzrost terrorku i represyjności w działalności Czeka, przemianowanej w 1922 roku na GPU /potem OGPU/. Organy bezpieczeństwa dokonują ekspansji na wszystkie dziedziny życia, rozbudowując także swoje struktury za granicami kraju. W 1934 r. OGPU /GUGB/ podporządkowana została NKWD. Oprócz kontroli milicji i służby bezpieczeństwa do funkcji NKWD należał również nadzór nad wojskami ochrony pogranicza, strażą pożarną, więziennictwem i obozami pracy przymusowej /Archipelag GULag/.

Rok 1937 przyniósł ze sobą widoczne i bezprawne posunięcia tajnej policji. NKWD stał się wówczas wcieleniem straszliwego terrorku, nie znanego dotychczas w dziejach społeczeństw europejskich i światowych. Najdrobniejsze ludzki odruch w stosunku do innych mógł okazać się "agitacją kontrrewolucyjną", "sabotażem", co mogło spowodować zesłanie czy śmierć. Donos i prowokacja stały się cnotą i obowiązkiem obywatelską. Nigdy wcześniej nie miała większego i doskonalszego zastosowania zasada: "Dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie". "Kariere" zrobił słynny artykuł 58 kk, na podstawie którego mógł być skazany każdy obywatel.

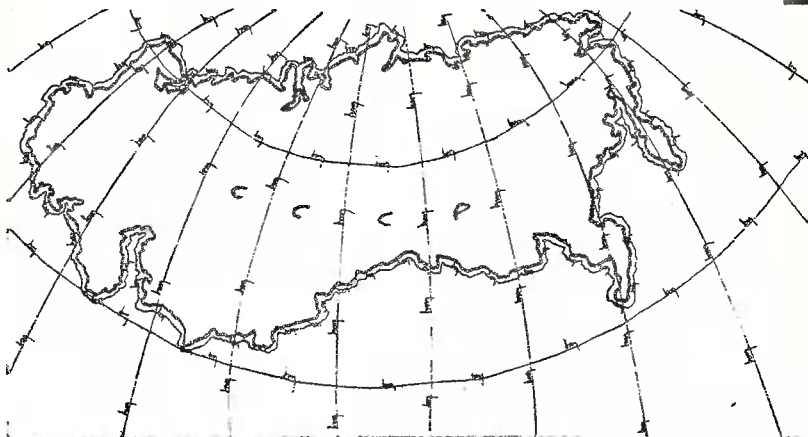
Lata 1939-1988 przyniosły ze sobą dalszy wzrost roli aparatu bezpieczeństwa. Cele jego pozostały niezmiennie. Nadal pracowano nad ulepszeniem metod represji wobec przeciwników systemu sowieckiego. Obok prowokacji i obozów koncentracyjnych pojawiły się psychuszki /szpitale psychiatryczne/, w których pacjentami stały się osoby reprezentujące jawną niechęć wobec "Przodującego Ustroju".

Wszystkie formy, jakie przybierała tajna policja to powolne, stopniowe wyprowadzanie rośliny z jednego ziarna, kodyga, jej odrośla i liście mają zawartą w ziarnie, pierwotną zasadę, którą wynoszą na świat. Dzieje tajnej policji politycznej w Rosji i państwie sowieckim to właśnie takie "hodowanie rośliny z jednego ziarna". Zmieniające się nazwy tajnej policji doskonale kamuflowały jej właściwe przeznaczenie, nie zmieniając jednocześnie celów i metod. Kolejne mutacje aparatu bezpieczeństwa dysponowały wciąż jednakowymi celami. Walka z wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym, likwidacja wszelkich organizmów autonomicznych, dążenie do pod-

porządkowania i likwidacji Kościoła prawosławnego wytyczały drogę działania tajnej policji od XVI w. do czasów nam współczesnych. Te same i niezmiennie atrybuty były i są w rękach funkcjonariuszy policji: tortury w czasie śledstwa, przesiedlanie, zesłanie na Syberię czy do obozów koncentracyjnych, więzienie i psychuszki. Nie trudno - jak widzieć - wskazać Kręgoszup, na którym wparta jest i była ta potężna machina, bez której niemożliwe byłoby funkcjonowanie systemu politycznego Rosji i ZSRR. Terror i bezprawie to dwa nieodłączne wyznaczniki charakteryzujące tajną policję. Funkcjonowanie poza prawem i w imię racji wyższych Zapewniały organom bezpieczeństwa całkowitą bezkarność i brak odpowiedzialności.

Literatura:

- L. Bazyłow, Historia Rosji, t. I, II, Warszawa 1983
- E. Kaczyńska, Człowiek przed sądem, Warszawa 1984
- W. Karpiński, Cień Metternicha, Warszawa 1982
- Lemke, Mikołajewskie żandarmerie i literatura 1826-1856 gg, S. Petersburg 1908
- S. Monas, The Third Section. Police and Society in Russia under Nicholas I, 1961
- B. Lewicki, Terror i rewolucja, 1985, b/w.
- F. S. Squire, The Third Department. Establishment and Practices of Political Police in the Russia of Nicholas, 1968
- W. Sliwowska, Mikołaj I i jego czasy, Warszawa 1966
- A. Niekricz, M. Heller, Utopia a władzy, T. I-III, Warszawa 1986



Życie obecne

Adam Dolistowski

Wstęp do historii świata (3)

3

- Siuchaj - dobiegł mnie jakiś szept. - Daj rękę.

Pewnie drzemałem. Nasze wyczulenie na każdy dźwięk było jednak tak wielkie, że natychmiast rozkuździłem się. Ba, wręcz zapomniałem o czymś takim jak sen.

Na niebie nie było ani jednej gwiazdy, zapewne chmury nisko wisały. Leżałem przeniknięty odrętwiającym zimnem i dobrze wiedziałem, że poruszenie ręką sprawi mi niemały kłopot.

- Słyszysz? - wyczułem oddech koło ucha.

Dopiero teraz rozpoznałem Pawlika.

- Co jest? - burknąłem.

Odnalazł pod kocem moją rękę i dłoń przytknął do swojej twarzy.

- Czujesz?

- Czuję.

- Co czujesz?

Podkscytowany oczekiwał jakiejś nadzwyczajnej odpowiedzi.

- Twarz - odrzekłem, chociaż winienem zwyczajnie powiedzieć "gębę".

- Nie - zwątpił. - A teraz? - wyczułem spiczasty nos.

- Nos - odpowiedziałem.

Paścił moją rękę, natychmiast schowałem ją pod koc. Usłyszałem chrzęst igliwia, widocznie położył się na ziemi.

- Nie! - stwierdził. - Twarz jeszcze jest. Jak myślisz, w którą stronę to pójdzie, w stronę żab czy węży?

Wzruszyłem ramionami nie zdając sobie sprawy, że taka odpowiedź w ciemności jest czymś bezsensownym.

- Cholera - usłyszałem Daszkiewicza. - Czuję, że coś mi rośnie przy palcach.

- Oszukiwali - wątpił Juraszko. - Żęby miały mi odrosnąć, nie odrosły.

- Po co żabie żęby? - zachichotał Pawlik, pewnie odzyskał dobre samopoczucie.

Nie było nic dziwnego w tym, że nikt nie spał. Każdy miał coś do przemyślenia. Nasza nowa sytuacja zmuszała do różnych, chaotycznych kombinacji. Chciałbym znać takiego, który by wiedział kim obudzi się następnego dnia.

- Ciekawe, czy w naszej sytuacji jest miejsce na Yobisty - zastanawiał się Daszkiewicz. - Jak to się będzie robić?

- Ciekawe... - podchwycił Pawlik. - Bierzesz ropuchę...

- Ja już stanowczo zaprotestowałem - zbyt głośno wtrącił starszy szeregowy lanckoroński, który zazwyczaj wypełniał tylko rozkazy i stanowczo odmawiał wyrażania opinii. - Poinformowałem pułkownika Kwantuńskiego, że merytoryczna strona rozkazu jest nie do przyjęcia.

W przerwie między skałkami, na tle jaśniejszego nieba objawiły się dwie sylwetki. Może nawet ktoś spojrzął w tamtą stronę, ale na pewno bez szczególnego zainteresowania. Wiedzieliśmy wszyscy, że to niewątpliwie kapral Wachnik i szeregowy Krupa, którzy nieprzerwanie pełnili wartę i nikomu nie dawali się zmienić.

- Wilki się przyczepiły - poinformował Wachnik. - Nie boją się, zwierzyły się słabość.

Szeregowy Krupa przysiadł na moim kocu, a nogi położył chyba na Daszkiewiczzu.

- Mówiłem - rzekł. - Coś mi się za lekko przeskakuje po tych skałkach. Jak nie będę robił na zajęcia. Wy kapralu - to chyba miało być do Wachnika - coraz bardziej mi wyglądacie na koguta. Wilk poczuł łatwą zdobycz.

- Jestem człowiekiem - obudził się wachmistrz.

- Wolałbym w stronę węży - stwierdził po przemyśleniach Pawlik. - Zawsze to pewna chytryść i inteligencja.

- Stanowczo protestuję... - znowu objawił swą obecność starszy szeregowy lanckoroński, lecz nie zdążył kontynuować, ponieważ wachmistrz i Krupa, nie wymieniając ani słowa równocześnie zerwali się i zniknęli w ciemności.

Naszuchiwaliśmy. Być może przeciętnik, którego trzymaliśmy w okrążeniu, postanowił przejść przez nasze pozycje. Powinniśmy usłyszeć odgłosy walki, szamotanie, choćby ciche kroki. Nic takiego nie nastąpiło, nawet wiatr uspokoił się i ustały dochodzące gdzieś z daleka pogwizdywania.

- Tak sobie myślałem - przerwał ciszę Juraszko. - Może by tak nie było najgorzej zostać bocianem. W końcu ludzkie dość przyjaźnie podchodzą...

- Będziesz zabą - zachichotał Pawlik.

- Otóż tego się obawiam - skomentował Daszkiewicz. - Bocianami na pewno zostaną oficerowie, żeby mieć jakiś szacunek. Porządek w końcu musi być.

Bezspornie byliśmy nasiąknięci zwyczajnym niepokojem. Od chwili, gdy rozkazem pułkownika Kwantuńskiego przeszliśmy w inny stan materii, każdy po swojemu rozumując i na swój własny użytek, starał się znaleźć w miarę wyobraźalny własny kształt. Starszy szeregowy lanckoroński, który wreszcie przeczłł, okazał się być człowiekiem w miarę wykształconym i przekonywał, że cały otaczający nas świat, to ten sam stan materii. Owszem, staraliśmy się go zrozumieć, niewątpliwie - inny stan materii, to inna struktura cząstek elementarnych. Cóż począć, kiedy każdy miał swoje własne wyobrażenie inności.

Sytuacja była sposobna do rozmyślań. Ileś dni z rzędu trzymaliśmy naszego wroga w okrążeniu. Tak naprawdę zbyt dobrze jeszcze nie wiedzieliśmy dlaczego kogoś tam mamy zniszczyć. Wróg skrzył się bardzo chytrze, w zasadzie jeszcze go nigdy nie widzieliśmy.

Czekaliśmy. Każdej nocy potęgowaliśmy swoją abstrakcyjną nienawiść do tego kogoś, kto skrzył się gdzieś tam i zapewne pragnął, żeby świat

o nim zapomniak.

Ny pamiętaliśmy.

Niebo rozjaśniało się od wschodu. Również tamtego ranka pragneliśmy mieć pewność, że wreszcie dobierzemy się do nieprzyjaciela.

4

- Niewątpliwie, to banda komunistycznych dezertarów - stwierdził major Szpak wyglądając ostrożnie zza skały.

Pułkownik Kwantuński siedział na pieńku i na skrawku karkówki rysował szkic operacyjny. Podporucznik Cichy stał za nim i podtrzymując pułkownikową bluzę oskuchiwał stetoskopem jego plecy. Wreszcie machnął ręką i odszedł w bok. Poszliśmy za nim. Zniechęcony wyrzucił stetoskop, a oczekując naszych pytań wzruszał ramionami.

- Wygląda, że człowiek - stwierdził.

Jeszcze o czymś zapomniak, wrócił do Kwantuńskiego i wyjął termometr spod jego pachy.

- Temperatura normalna.

Termometr też wyrzucił. Chcieliśmy osobiście dowiedzieć się o ciepocie ciała pułkownika, lecz zdołaliśmy odnaleźć tylko jakieś szczątki termometru.

Może pułkownik Kwantuński chciał nas nabrać?

Podszeźł major Szpak.

- Chciałbym zareplikować - uprzedził nasze wypowiedzi. - Wiem, co sobie myślicie. To śmieszni niewiara w rozkaz dowództwa. Ja - uderzył się w piersi. - Ja jestem dowodem przemiany. Niech no tylko spotkam jakąś komunistyczną bładź...

Rozejrzał się. Wiedzieliśmy, na kogo rzuci podejrzenie. Kapral Wachnik i szeregowy Krupa patrzyli w niebo.

- Chodźcie no tutaj - przywołał ich.

Posłusznie zbliżyli się.

- Podobno mieliście jakiś rozkaz?

- W poprzednim wcieleniu - odpowiedzieli chórem.

- Aha - ucieszył się major. - Nieprawda. Nie było poprzedniego wcielenia, był dawny stan materii.

- Ja jestem z powiatu makowskiego, panie majorze - tłumaczył się szeregowy Krupa.

- A ten? - major spojrział na Wachnika. - Skąd jesteście?

- Bo ja wiem? - zdążył powiedzieć Wachnik i nie potrzebował kontynuować, ponieważ major Szpak przestał się nim interesować.

A to wszystko dlatego, że pułkownik Kwantuński wstał z pieńka. Najpierw wyprostował ramiona, przeciągnął się, nabrał głęboko powietrza w płuca, westchnął i znalazłszy się przy naszej osłonowej ścianie wyjrzał zzań w przestrzeń, gdzie skrył się nasz potencjalny nieprzyjaciel.

- Weźmiemy ich szturmem - zakomunikował.

- Ja stanowczo protestuję - uaktywnił się znowu starszy szeregowy Lanckoroński. - Nie zgadzam się, zostałem pacyfistą.

Pułkownik Kwantuński jednak zareagował. Podeszeźł do starszego szeregowego, obejrzał go, poklepał i jakoś tak po ojcowsku uciesniak.

- Może to i lepiej - skomentował. - Czyżby ten kierunek? Porucznik

Cichy... - odwrócił się poszukując oczyma naszego stomatologa.

Kiedy ten podchodził, starszy szeregowy Lanckoroński coraz bardziej malał w ucisku pułkownika.

- Władzicie? - Zachęcał pułkownik Cichego do zainteresowania się przy-padkiem.

Podporucznik Cichy obojętnie przyglądał się Lanckorońskiemu nawet za bardzo nie zbliżając się do niego.

- A bo ja wiem? - wreszcie orzekł i powrócił w okolice drzewka, gdzie urządził swój własny, wyizolowany kaciok, w którym nie przyjmował pacjentów.

- Pułkowniku - zgłosił się major Szpak. - Miałbym podejrzenie. To mi wygląda na jakieś inteligentnie odchylenie lewicowe.

- Myślicie? - zastanawiał się Kwantuński.

- Niewątpliwie - kontynuował Szpak. - Pozostał w kręgu ideologii naukowego materializmu. Na pewno nie wierzy w życie pozagrobowe.

- To jak? - łagodnie zwrócił się pułkownik do Lanckorońskiego.

- Zawsze byłem ateistą - ten wyszeptał.

- Zawsze - oburzył się Szpak. - Co to znaczy zawsze? Czy jest w ogóle zawsze?

- Fanie pułkowniku, może on jest jałowity? - wtrącił Pawlik.

Major Szpak niespokojnie zakręcił się wokoło. Podbiegł do podporucznika Cichego, który siedział na ziemi wpatrzony w małe lustro kio-szenkowskie.

- Fanie poruczniku - rzekł z naganą. - Mógłby pan łaskawie zająć się naszymi wspólnymi problemami.

Podporucznik Cichy stąpając jak lunatyk ponownie zbliżył się do skały, przy której zgromadzili się już wszyscy. Długo i przenikliwie patrzył w twarz Lanckorońskiego.

- Czuję odpływ ducha - stwierdził.

- Dostrzegam niebezpieczeństwo - wyszeptał przerażony Szpak. - On może reaktywować egzekutywę.

- I jeśli w stanie materii spotka Lwa Żdziszłowicza - podjął niepokój Kwantuński i zapewne wstrząsanie nie pozwoliło mu przypuścić, na jakie wówczas niebezpieczeństwo byłibyśmy narażeni.

Pułkownik oddał się rozmyślaniom, a wszyscy o sobie zapomnieli. Tylko starszy szeregowy Lanckoroński nie mógł darować tak nagłej obojętności wobec swojej osoby.

- Moglibyście mnie przynajmniej rozstrzelać - rzekł zrozpaczony.

- Zamknelibyście się, szeregowy - upominał go Szpak. - Chwila jest zbyt poważna.

Kwantuński przemierzał skalistą przestrzeń po przekątnej i rozmyślał. Niewątpliwie wspomnienie Lwa Żdziszłowicza zakłóciło rytm jego świadomości. Też przecież nie wiedział jaki kształt posiada nasza obecna rzeczywistość. Trudno przewidzieć co i kogo możemy spotkać w naszej drodze.

- Bzdury - przystanął nagle i zamasztył ruchem dłoni przywołał wszystkich do siebie. - Niczego nie będziemy szukać. - oświadczył. - Przecież my stworzyliśmy nowy stan materii.

- Panie pułkowniku - wtrącił się znów pewny siebie starszy szeregowy Lanckoroński. - Chciałbym wreszcie wiedzieć, dlaczego odaszliśmy z poprzedniego stanu.

- To się nam nie podobał.

- Ryszardzie - zastanawiał się Szpak. - Jak sądzisz, czy jesteśmy na to intelektualnie przygotowani?

- Bezsprzecznie - orzekł pułkownik. - Mamy przecież solidnego wroga. Nikt nas tak nie zmusi do twórczych poszukiwań, jak porządny, bez-zględny nieprzyjaciel.

- A co z prowiantem? - Zajączał Juraszko.

Oburzony major Szpak aż podskoczył.

- W rozkazie było przecież postanowiona, że w naszym stanie materii nie ma miejsca na podobne bzdury.

- Tak koleczy - kontynuował pułkownik. - Pomocmy tych dezertersów w skłach. Sprawdzimy ich poczucie wrogości.

- Zaráż, zaráż, panie pułkowniku - replikował przemądrzały starszy szeregowy Lanckoroński. - Jeśli mamy różne stany materii, to my ich nawet możemy nie zobaczyć. Oni żyją w innym stanie substancji...

- Jakiej substancji? - przerwał Kwantalski. - Wezale się nie dźwię, że jesteście tylko szeregowym. Trzeba wiedzieć, wszyscy słuchajcie, że wrogość jest pojęciem duchowym, a nie materialnym. Aleksandrze - zwrócił się do Szpaka. - Przygotuj wreszcie bazę koncepcyjną.



Jan Nowofalista

Złapać język za gardło

Celem niniejszego szkicu jest przypomnienie między innymi poety Adama Zagajewskiego. Zamyśl z pozoru dziwaczny - wszak chodzi o postać jednego z najbardziej aktywnych twórców pozostających na emigracji. Rzecz w tym, że twórczość Zagajewskiego rozwinęła się w mało spodziewanym kierunku i Zagajewski-emigrant przestał być podobny do samego siebie. Chciałbym tu dopełnić wizerunek poety-emigranta o jego wcielenie poprzednie, powoli wchodzące z pamięci, a młodszym czytelnikom być może w ogóle nieznanne.

Ponadto, po czasie, kiedy minęło zdziwienie i zaskoczenie przeobrażeniami poezji Zagajewskiego, można w nich dostrzec znaczną konsekwencję.

Istotą poezji i sztuki w ogóle jest dotarcie do istoty istnienia, dalej przeniknięcie i zrozumienie jej. Wszyscy o tym wiedzą, rzadko komu udaje się tam trafić od razu. Może Rimbaudowi, może Mozartowi /temu z Hollywood na pewno/. Zagajewski w odróżnieniu od rzeszy debiutantów, którzy chcą dużo i szybko strzelają na chybił-trafił, wychodzi z założenia, że żeby trafić do celu, trzeba go uprzednio zlokalizować. A poznanie istoty rzeczy jest możliwe tylko po uprzednim zewnętrznym poznaniu rzeczy owej. /Pisze o tym Zagajewski w artykule "Budowniczy-Feiper" ze "Świata nie-przedstawionego"/. Do metafizyki poprzez fizykę, do wnętrza świata poprzez jego naskórek.

W myśl powyższego już emigrant Zagajewski pozostawakby nadal w stadium opisywania i porządkowania świata zewnętrznego, nie podejmując jak dotąd zagadnienia nasrzednego. Jedynie świat tekturowych ludzi i takichże samych idei ustąpił miejsca światu odwiecznych, więc tym razem raczej autentycznych wartości, zachowań i prawideł.

Konsekwentna realizacja programu. Bardzo to proste i może logiczne, tyle że nieprawdziwe, gdy pozbawione wieloznaczności, niepewności, dramatów, rozterek, zwątpień.

Adam Zagajewski zaadaptował pod firmą Nowej Fali, znany już wcześniej jako jeden z twórców jej programu, stawiającego na pierwszym miejscu postulat opisaną najbardziej zewnętrznej rzeczywistości w możliwie najprostszym sposób. Poezja miała zastąpić publicystykę, socjologię i kilka jeszcze indolentnych instytucji zajętych tworzeniem fikcji na zamówienie czynnika rządzącego. Także dotychczasową poezję, dzielnie dotrzymującą kroku, przerażoną możliwością niezaproszenia na kolejną akademię ku czci.

Kiedy proceder znieważania prawdy /apogeum w marcu 68/ staje się nie do zniesienia, Zagajewski jako jeden z pierwszych uderza pięścią w stół - odzywają się cenzorskie nożycki. Przy ich akompaniamencie powstają

dwa tomiki poetyckie: "Komunikat" /WL, Kraków 1972/ i "Sklepy mięsne" /WL, Kraków 1976/. Zajmiemy się pierwszym, najbardziej charakterystycznym dla poezji Nowej Fali, najbardziej programowym.

Tomik kończy się wierszem-wezwaniem do kolegów po piórze, cytujemy ostatnie jego wersy:

/.../

powiedz prawdę do tego skłuzysz w lewą rękę
trzymasz miłość a w prawej niemiłość

/Prawda/

Apel o godność, ale też wyrażenie konieczności wyostrenienia pojęć, ponownego przeprowadzenia podziału między przeciwstawnymi wartościami; to także żądanie przyjęcia zdecydowanej postawy, jednoznacznego określenia się po jednej ze stron. Do wystosowania takiego apalu upoważnia Zagajewskiego ocena aktualnego stanu rzeczy. I tak...

Przestały mieć znaczenie wartości moralne, nie da się ich wyodrębnić; przestały istnieć kryteria, kontrasty; nawet zasadnicza opozycja moralna między dobrem a złem straciła sens. Wpływa to na jakość, a właściwie nijakość albo bylejakość naszego życia:

/.../

Nie jesteś głodny ale nie jesteś najedzony
nie jesteś uczciwy ale nie jesteś winią

/.../

Rano kradniesz wieczorem pijesz wódkę
jesteś dobrym człowiekiem który ma swoje Zasady

/Miasto/

Apatia, rezygnacja, brak wiary w ważność i niepowtarzalność własnego istnienia: Ponura rzeczywistość. W jej kontakcie drażnić muszą idylliczne obrazy propagandowe, przypominają martwe natury wyrobników pedzła:

/.../

Największa zgoda winogron
z porcelaną talerzy i zębów

/.../

/Drugie śniadanie czyli martwa
natura/

Zdziwiająca harmonia. Nieustannie lansowana na przekór faktom, choć wszystkim wiadomo na ogół, że winogrona są gorzkie, zęby sztuczne, talerze z plastiku.

/.../

Wszystko to sugeruje
że gilotyny służą do obcinania paznokci

/j.w./

Totalnego absurdu nie ustrzegli się jedni, nie chcieli się ustrzec inni. To przede wszystkim o poetach, ale także o pozostałych ludziach wypowiadających się publicznie w jakiegokolwiek formie. Uczestniczących zgodnie w tajemniczym misterium na cześć nonsensu. Dotarłszy, niekiedy z trudem, do istotnego problemu, zatrzymują się przed nim, by zaprzętać kilka ekwilibrystycznych sztuczek z bogatego repertuaru:

/.../ nad brzegiem jeziora
/.../ grono poetek o smutnych twarzach
 śpiewa pieśni harcerskie;
 nie umieją pisać.

 /Nie czytajcie Jastruna/

Kolejny przykład rytuału codziennego w latach 50-tych, 60-tych, 70-tych, jakby już akompromitowanego, istniejącego dziś jedynie w formach relik-
towych:

Boga nie ma
powiedział po raz drugi
prelegent
i potrzącił feuerbachem
zasypiającą kobietę
/.../
wyrostek z końca sali zapytał
czy już nie będą odprawiali mszy
 /Odczyt/

Ujawnia się w tym wierszu świat bez wartości nadrzędnych, bez auto-
rytetów. Ani ideologia, ani religia. Uczestnictwo w prelekcjach to tyl-
ko kwestia bardziej lub mniej sugerowanego przymusu, wzajemnej presji
wytwarzającej się między ludźmi. Ale już na sali nic nie potrafi po-
wstrzymać naturalnej senności i śmiertelnego znużenia. Wiara to często
też kwestia tylko zwyczaju. Jak bardzo bywa powierzołowna świadczy fakt,
że jej niepoważne podważenie potrafi wywołać ciekawym poważne wątpliwoś-
ci.

Niewiele w "Komunikacie" wiaraży pisanych jest w pierwszej osobie
liczby pojedynczej, gdzie podmiot liryczny występuje w formie zaimka
"ja". Jednemu z nich proponujemy poświęcić więcej miejsca i uwagi:

Pewnego dnia postanowiłem
dowiedzieć się kim jestem
/.../
zdjąłem wszystkie odznaczenia
i oddałem honory
Zgubiłem dowód osobisty
i książeczkę wojskową
w których były moje zdjęcia
z obolem języka w ustach
Taka jest cena za przepłynięcie
rzeki lojalności
/.../
Byłem bezpieczny aż do szpiku kości
/.../

 /Pewnego dnia postanowiłem
 się dowiedzieć kim jestem/

Człowiek dla systemu istnieje w postaci dokumentów i odznaczeń, które
nosi. Pozbywając się ich pozbywamy się prawa do istnienia /choć i książ-
teczka wojskowa nigdy o nas nie zapomni/. Tak jak od żywego świata waż-

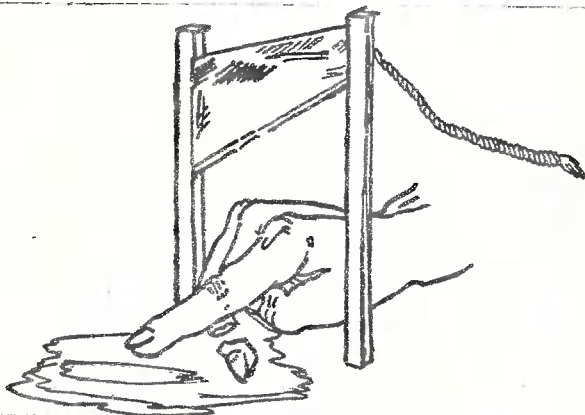
niejsza jest fasada, tak od człowieka garnitur, a w nim kieszeń z dowodem osobistym zawierającym podstawowe i jedynie wartościowe informacje o właścicielu, a więc wzrost przeważnie średni, oczy zazwyczaj smutne, znaków szczególnych wyróżniających od innych, najczęściej brak.

Kiedy zrzućmy z siebie sztuczną skórę, stajemy się bezbronni i ogarnia nas przerażenie. Wyróżniamy się z tłumu, spoczywa na nas jego nieprzyjazny wzrok, pozbawieni barw ochronnych stajemy się łatwym, widocznym z daleka łupem. Niech nikogo nie zmyli słowo "bezpieczeństwo", ono dawno zostało zaanektowane przez wiadome służby przekształcając się w swój antonim.

By poeta mógł stać się poetą "pełnowartościowym", mógł wydawać i uczestniczyć, musi złożyć w ofierze systemowi swój indywidualny język. Ceną za przepłynięcie rzeki lojalności jest język. Poeta lojalny /nie wobec samego siebie/ musi wymienić własny sposób wypowiedzi na aktualnie obowiązujący w danym sezonie, nie może fałszować w jednako brzmiącym chórze.

Wiersz ten, umieszczony w tomiku jako jeden z pierwszych, sugerowałby deklarację Zagajewskiego o wystąpieniu z chóru na rzecz występów solowych. Stało się inaczej. Częściowo tylko świadomie założył chór dokładnie przeciwnawny. Poeci Nowej Fali zrezygnowali w dużej mierze z indywidualnych ciągów i aspiracji wydając wspólną walkę oficjalnemu nurtowi życia, kreowanemu i sterowanemu przez system.

Nowa Fala się rozpadła, Zagajewski zdecydował się na emigrację. W tym kraju trudno być poetą, gdy każdy wybór poetycki ocenia się w kategoriach wyboru politycznego. Zagajewski dawno i jednoznacznie określił swój stosunek do systemu, do polskiej rzeczywistości. Chodzi teraz o możliwość dokonywania wyborów wyłącznie w dziedzinie poezji.



Adam Zagajewski

SCHYŁEK LATA

Podmiejski pociąg pędził przez willowe pustynie
jak sztylet, który spragniony jest tylko serca.
Z głośników dobiegał głos któregoś z dyktatorów
a wiewiórka skakała z gałęzi na gałąź,
uciekając przed moim spojrzaniem.
Schyłek lata, ciężkie szyszki cedrów,
zakonnica w grubym, brązowym habicie
uśmiecha się jak ktoś, kto wszystko zrozumiał.
Nad olsistą powierzchnią stawu scigają się ważki,
łodzie płyną ukoniem i toną w purpurze sennego słońca,
upał dotyka każdej rzeczy i skóry jak celnik.
Listonosz drzemie na ławce, ze skórzanej torby
wysypują się jaskółki listów, w trawie topnieją lody,
krety sypią kopce na pamięć smagłych bohaterów,
których nikt nie pozna. Ciemne drzewa stoją
nad nami a między nimi zielone płonienie.
Nadchodzi wrzesień, wojna, śmierć.

WRZESIŃKIE POPOŁUDNIE W OPUSZCZONYCH KOSZARACH

Słońce, syte słońce wrzesnia,
słońce zniw i żółtych -ciemnisk
Zatrzymać się nade mną
i nad budynkami opuszczonych koszar.
Cisza biwakowała tam, gdzie niegdyś
brzmiały głośne rozkazy,
cisza po żołnierzach,
cisza po lazaracie, gdzie kiedyś
słychać było jęki chorych.
Dziedziniec zarosła trawa, wysoka, dumna,
dojrzała do ostrza kosy.
Cisza panowała tam, gdzie niegdyś płakali
rekruci o sinych, ogolonych czaszkach.
I we mnie była cisza, tam gdzie kiedyś
mieszkała rozpacz.
Ścieżką biegnie czarny kogut, chorągiew
pełna gorącej krwi.
Płowieje jesień,
głośno wojna.



Leopold Tyrmand

Fryzury Mieczysława Rakowskiego

"Historia fryzur Mieczysława
Rakowskiego" jest historią
zwycięskiego i rządzącego
komunizmu w Polsce"

/.../

Rakowski ma tzw. doskonałe pochodzenie społeczne: jest synem chłopskim z Pomorza. Na początku komunizmu o niczym tak nie mówił, jak o chłopskich synach-autentykach: z góry mieli przygotowane wierszyki o Zachodnio-słowiańskich, naprawdę aryjskich rolnikach, co to w biedzie, lecz niezłomnie opierają się nawale germańskiego imperializmu. Produkt jest zatem zdrowy, mocno zbudowany, jasnowłosy i ujmujący na oko. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, Rakowski nosił na głowie, jak to się mówi, szepę - ogromny, blond-kędzierzawy tłumok, dający mu wygląd na pozór tużinkowy, w gruncie rzeczy zaś pieczokowicie opracowany. Była to pełnia stalinizmu i Rakowski wraz z jakimś Wyszynackim /ostatnio redaktorem "Stolicy"/, wprawił się w Zawód komunistycznego opracowywania słowa drukowanego u boku skąpnego w owym czasie karta, szafa Wydziału Pracowego KC, Stefana Staszewskiego, późniejszego suntuownika. /.../

W okresie, o którym mowa, Staszewski nie był jeszcze nonkonformistą lecz stupałą, zaś Rakowski nazywał się instruktorem Wydziału Prasowego, czego znaczenie ginęło w oddechach komunistycznego eufemizmu. Aperyjoja zaś była skrupulatnie dobrana: należało podkreślać niezbyt obciążającą wieśniaczość przy pomocy uczesania i stroju, dbając jednocześnie o znamiona rozwoju umysłowego na twarzy, łatwe do zidentyfikowania z rozwojem klasowej i partyjnej świadomości. Od zrzeczenia takiego przypasowania zależało wiele, czasem kariera, i Rakowski umiejętnie rozwiązał zagadnienie. Włos nosił płowy, kręcony, sztywny, wzdęty i budzący matychmiastowe uczucia solidarności u tych wszystkich na nowych posiadach i funkcjach partyjno-rządowych, których metryk nie można byłoby się doszukać w metropoliach większych od Konina, Przasnysza czy Wejherowa. Ubierał się schludnie i bez krawata, w bezkształtne wiatrówki i płaszcze wátowane w ramionach, za to do samych kostek. Z daleka nie różnił się niczym od owej młodzieży gromadzko-powiatowej, wyglądającej jednakowo i w ORMO, i w spółdzielni, i w świetlicy "Służby Polsce", i na procesji Bożego Ciała, i na wieczorku POM-u, której forma zespala się tak pięknie z wyobrażeniem kolonki, kajaków na wiślanych płatach, piews "Dubaltowe" i melodią "Besame Mucho" pod papierowymi lampionami wokół hasła o współzawodnictwie pracy. Ta właśnie młodzież

nia podówczas uręda socjalizmu i pieprzykiem etapu, ód jej udziału za-
leżało tak wiele. /.../ Do pól modnych i szyku chwili należało subtelne
podkreślanie parobczeskich treści psycho-fizycznych w służbie intelektu,
kultury i nowej Polaki. Z tym, że na ludowo-świeżych wargach instruktora
Rakowskiego błąkał się już wtedy uśmiezek, wsparty ważnym spojrzeniem
dość zalesznego oczu, z którego wynikało, że uśmiechający się zna na pe-
nięć teorię zaostuzania się walki klasowej wraz z postępmi socjalizmu,
i że Józef Wissarionowicz może ufc ludowi wiejskiemu polskiego Pomorza,
który zrobi wszystko jak należy w myśl dialektycznych przepisów na wzno-
szenie się w górę.

Na dyskusji w Klubie Międzynarodowej Prasy Rakowski miał wlos skróco-
ny, acz ciągle jeszcze blond-barenkowy, karakułowaty i na jeza, żeby nie
odstręczał nowej administracji przesadnym dandyzmem. Ubrany był w dwurzę-
dówkę typu granatowy tenis z GDT-u, schludnie i tym razem przy grawacie.
Śmiał się obficie i z całego serca, zwłaszcza z co gwałtowniejszych anti-
oficjalnych akcentów. Był bardzo miły i starał się nie uprawiać mrie
w zakłopotanie. Mimo powierzchnowego kontaktu wyczuwało się jakąś zasad-
niczą inność. Była to inność osiwiała w troskach niepowodzeń, nowa gię-
kość tych, którzy już wiedzą, że trzeba inaczej. Jeszcze ubierają się
statecznie i skromnie, lecz już z socjalistycznego waszcacia, co pozwala
nie bać się ironii i śmiać się z tego, przeciw czemu pięć lat temu wy-
ciągało się nagan. Tow. Rakowski, w ramach powikłań etapu, demonstrował
z wdziękiem jak umiał najlepiej to, co było niełatwe do zrozumienia,
lecz nieodzowne dla dalszego istnienia. Zresztą robił to zreczniej i tak-
towniej od wielu innych. Tym razem miałem do czynienia z redaktorem na-
czelnym "Polityki" i - już wkrótce - prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy
Polskich.

/.../

Rys historyczny /z pamięci/: kiedy Gomułka doszedł faktycznie do wła-
dzy natychmiast zetrząbił na odwrót. Ale zetrząbił śak, że tylko najwandaśi
usłyszeli. /.../ Rakowski usłyszał m e s a g e niezwykle chwyliwym
uchem, zaś niewykluczone jest, że sam Gomułka mu je z bliska przyzwizdał,
albowiem mówiono podówczas, że stosunki między nimi są więcej niż ro-
dzinne. Nie znam poszczególnych szczebli kariery Rakowskiego, lecz gdy
stanał w ogólnonarodowych reflektorach po Kądzielniku, wszyscy wskazy-
wali na zażyłość nowego Szefa z nierutowskim instruktorem prasowym. Jak,
co, dlaczego - tego nie wiem, że posada się natychmiast wykroliła na na-
dal.

Potrębne było pismo. Nie byle jakie. Takie, co to znalazłoby formułę
zasprawiedliwiającą satactwa ideowo-polityczne odzierające Polaków z tego,
co wydawało się im, że wywalczyli. Należało to uczynić cienko, deli-
katnie, w oparciu o najnowsze osiągnięcia, w stylu nie przypominającym
przedhistorycznego prymitywizmu Jakuba Kerkana. To pismo miało trafić
w i d o, miało sięć się kuźnią nowych koncepcji i super-pralnią
starych kombinacji i kretostw, które tyle razy już zawiodyły w rewolucyj-
nym "stawaniu się" i w socjalistycznym budownictwie, a które ciągle
jeszcze trzeba było czyścić, nicować, farbować i używać na nowo. Kto
wymyślił nową wersję starych przecherstw? /.../
Dlaczego właśnie Rakowski? Jakie miał kwalifikacje, czym się zapisał
w skerowidzu zasług i umiejętności? Tego znów nie wiem, znam go tylko

po wynikach. Na rozruch otrzymał piękne przedsięwzięcie: "Trybuna Literacka" sfajzowana z "Trybuną Wolności" - teoretycznym organem KC PZPR, wydawanym w 6-cyfrowym nakładzie na użytek inicjatywy prywatnej, której sklepiki uważały jej papier za nadający się najlepiej /?/ do pakowania śledzi; /.../

Mie piszę rozbiórki krytycznego ani studium o "Polityce". Nie mam po temu kwalifikacji, czasu ani zainteresowań. Ale wiem, naskórkowo i na potoczny użytek, czym to pismo jest. Przede wszystkim jest nieudana próba kradzieży: miało ukraść "Po prostu", jego znaczenie i to się nie udało. Niemniej nie stało się imitacją. Wypracowało własne, dość wyraźne oblicze, wraz z wszelkimi śladami szpetoty. Jego początkowa koncepcja sprowadzała się do odwoływania Pałaziernika i był to program przerażający w swej prostocie. Polacy w myśl tego programu, osiągnęli p o l i t y c z n i e wszystkie co było do osiągnięcia, dalszy rozwój przemian prowadziły do anulacji socjalizmu, zaś anulować go nie wolno nie tylko ze względu na Ruskich, którzy mogliby się poczuć dotknięci, lecz ze względu na niewzruszalny fakt, że socjalizm jest dobry. Co nie znaczy doskonały. /.../

Są to jednak problemy, którymi "Polityka" nie zajmuje się nawet w drodze najdogłębniejszych aluzji. Socjalizm jest świętą krową, jeść jej nie wolno, ale że odżywić się trzeba, przeto - jak wszystko co żyje pod czerną gwiazdą - musi żyć na numer. Numer "Polityki" jest dość prosty i polega na żręcznym przedstawianiu ersatzu w miejsce autentycznego problemu czy autentycznej odkrywczości. Orwellowskie prawo równych i równiejszych przeobraża się tym razem w prawo troski i tzw. obiektywnej troski. "Polityka" troszczy się o Polskę i socjalizm, i los człowieka, i dystrybucję, i chuligaństwo, i prawa ruchu ulicznego, i felerów, i teorię kwantów na uczelniach, i jakość smarów, i służbę zdrowia, i nieznaną aspekt piśmicyzny o b i e k t y w n i e ...

/.../

Przypuszczalnie zasadniczy przełom w życiu Mieczysława Rakowskiego nastąpił w początkach lat 60-tych. Harmonizował, jak zawsze, z podskórnymi tendencjami w polskim komunizmie. Kończył się okres uwarunkowań i instrumentalizmu, nadchodził czas osobowości, już nie żelazne prawa egiptologii, litera leninowskiej ewangelii, czy podręczniki politycznej gramoty określały historię na co dzień, lecz wolna gra sił między osobowościami. /.../

Wtedy też ujrzałem ponownie Rakowskiego, tym razem na premierze warszawskiego STS-u. Już sama scenaria była sygnałem: oto tu, w płyciutkim, lecz zawsze jeszcze dotku społecznego rewizjonizmu, przez który, jak się go w porę nie zauważy i nogę mączna złamać - fałszyt Gomułki w arcy-nowej stylizacji, którą - co tu ukrywać - zafrapował mnie. Cały w zachodnioeuropejskich beżach, zamszach, skórach, oliwkach, butach koloto butelki brylował, dzielił uśmiechy, łaski, b o n - m o t y, sztycyntkie riposty kwalifikujące go do równouprawnienia w tym środowisku ozdobnych rozgrywek i żyłkowych komercjacji. Reprezentował swingowca, bestnika, be-bopowca, sifrostrowanego agzystencjalistę z ciagotami do elegancji i odpowiednią siłą nabywczą w dewizach, wymodelowanego na Saint-Germain-de-Prés i bohatera filmów nowej fali. No i włosy, fryzura, uczesanie, determinanta czułości, akcent naczelny i najmłodniejszy: tym razem były krótkie, płaskie, sozessane do przodu, lecz nie na Tytusa, lecz krojem

francuskim lansowanym ostatnio przez Maurice Roneta. To było imponujące! Pojęciem z mety jakiej siły charakteru wymagało prostowanie owych krępekich blond kędziorców, zwiniętych ongiś w stalowe spirale, jakie determinacji i woli trzeba było, by je położyć na płaski - O Boże... - Jęknąłem z podziwem - ...skąd te ciuchy? - To proste - odparła stojąca przy mnie dziewczyna. - Wiłkomirska.

Nie wiem kiedy Rakowski ożenił się z Wandą Wiłkomirską, słynna strzyżaczka, ale wiem kiedy małżeństwo to zaczęło przynosić owoce. Miarowicie w epoce narastającego znaczenia osobowości. W mglistą przeszłość odpłynęły surowość kurtek i zgrzebny purytańskiżm aparycji na wieśniaka, dostatek i jego manifestacje stały się walorem na giełdzie dokonana. Już wolno było mieć i domek jednorodzinny, i willę urządzoną antykami, i mały jacht na jeziorach, i tapety z Hamburga - to podkreślało prawidłowość rozwoju.

/.../ Małżeństwo Rakowski-Wiłkomirska jest cenzurą, nieodpartą przyczynkiem do obyczajów epoki i w moich oczach stanowi balzakowską wręcz próbę finansowego uniezależnienia się komunistycznego działacza politycznego w komunizmie. Albowiem, i to wymaga podkreślenia, zarówno w Paryżu pana de Bastignac, jak i w Warszawie towarzysza Rakowskiego - o niezależności polityka, o jego zdolności do politycznego manewru, do szerokiego myślenia, do pozornych lub mniej; pozornych aktów nonkonformizmu decyduje niezależność finansowa i wyzwolenie się z obaw o óczarany Zarobek. A jakże to pomaga w budowaniu osobowości! Bojąc się, że bez inwestycji Wiłkomirskiej, Rakowski nie dałby rady przedzierzgnąć się w "przekrołowca" p l a y b o y a, mimo że radykalna zmiana fryzury ująwniła w nim całkiem atrakcyjną przystojność. Kawał chłopca, uśmiech otwarty, rysy mocne i miękkie, trochę taki pomorski Steve McQueen - bowiem wymancypowali polnicy w średnim wieku i odpowiednio na głowie przycięci mieli i mają swój urok i wzięcie w salonach stolic. /.../

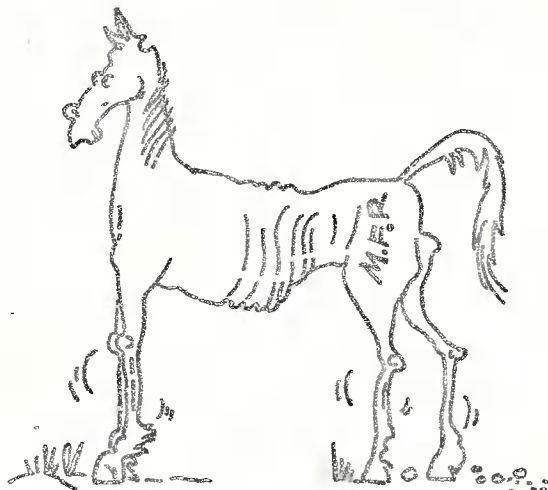
W połowie lat 60-tych zarysował się /w potężnym skrócie/ układ następujący: Gomułka i Kliszko wyizolowani, Cyrankiewicz w dyspozycji, Ochab - emeryt, zaś wokół nich skotłowana magma, z której dochodzą różne krzyki: "Moczar", "Gierek", "Młodzi sekretarze!". To ostatnie zwołanie zaczęło kilka lat temu z nazwiskiem Rakowskiego, zwłaszcza wśród Amerykanów, którzy z dziecięcą łatwością notują wszystko, co się im w Warszawie podsuwa. Amerykanie doszli do następującego wniosku: ponieważ sekretarze sekretarzy KC i Politbiura dobierali się w drodze skrupulatnego stażu i załatwić przez nich można mnóstwo, należy więc przypuszczać, że stanowią skryształizowaną siłę polityczną i należy ich brać pod uwagę jako ewentualnego partnera. Byli młodoturcy, są młodzi sekretarze, zaproszono więc Rakowskiego do Ameryki, gdzie spędził parę miesięcy, rozmawiał z Kennedy'm i otrzymał tzw. r e d c a r p e t t r e a t m e r i jako ewentualny partner i siła. Naiwnościem Amerykanów nie ma końca, żyją oni ciągle pod czarami Szeherezady, nie wiadomo więc co sobie po tej wizycie obiecywali; w każdym razie, na początku, zachwyceni swingowym wyglądem i fryzurą Nr 3 rykali grzecznie wgapaw slogany o koegzystencji, lekko znuansowane w zależności od rozmówców /Department Staru czy amerykańska lewica/. Wpadli we wściekłość dopiero, gdy po powrocie do Warszawy Rakowski opublikował książkę o podróży pn. "Ameryka wielopiętrowa", w której napisał wszystko inaczej niż mówił. Był to w istocie stek kłamstw, uproszczeń i kpis z inteligencji czytelnika, ale trudno jest mieć preten-

sze do Rakowskiego, że pisze źle i głupio: nie jest pisarzem ani dziennikarzem, a tylko instruktorem prasowym, redaktorem i przewodzący JDP. Dłż Amerykanie i tak nigdy się nie nauczą, że nie jest ważne co polityczny wieszczariat mówi u nich, ale co mówi u siebie w domu - i chyba dlatego przegrają walkę o świat, co nie dać Boże! Jedynym więc beneficjentem podróży był Rakowski: amerykańskie stypendium i głobtroterskie przydało mu trochę aury tolerancyjnej przystępności dla różnych porozumień. I o to mu głównie chodziło.

Rakowski od prawie 40 lat jest członkiem aparatu, co często podkreśla protekcjonalnym "moja partia" /pewnie z dachu, litery/. Organiczny nie- jako Związek z partią determinuje jego postawy polityczne, a szczególnie pojmowania realizmu politycznego, który tak chętnie sprowadza do geopolitycznych uwarunkowań. Nie najlepiej to wróży na przyszłość.

A żeby nie mieć zbyt wielkich złudzeń co do osoby, odświeżyliśmy sobie pamięć tekstem S. Symonida z 1967 r. pt. "Fryzury Mieczysława Rakowskiego". Bzdzi sam bohater, jak powiada, ma zamiar spaść z wysokiego konia i mimo jego wybitnej elastyczności w dziedzinie piz i fryzur niczego innego spodziewać się nie można.

Red.



4002